MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 21. WARSZAWA, 25 MAJA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

OSTRZEŻENIE ŚLĄSKIE

LAT temu ośm, 20-go czerwca 1922, po trzechletnim okresie tymczasowym głosowania ludności i rozgraniczenia, wracała do Polski wschodnia część Górnego Śląska, oderwana, licząc od podziału po Krzywoustym w r. 1138, przez ośm stuleci. Któż wówczas myśleć mógł inaczej, jak tylko, że ta święta ziemia niezrównauego cudu dziejowego, która przez stulecia pod świadomem celu jarzmem niemieckiem w jakiś przeważnie jakby nieświadomy sposób zachowała swą polskość, teraz, po powrocie pod rządy polskie, w lot wydobędzie ją wszędzie, dalej i dalej jeszcze, z pod niemieckiego nalotu? I dzisiaj także musimy spodziewać się, że ośm lat wolności pod polską władzą powinno było dużo odrobić, krokami olbrzyma, z ośmiu wieków ucisku niemieckiego.

I tu jest zawód.

Niemców na Śląsku, wedle połączonych danych spisu ludności pruskiego z r. 1910 i obliczeń dzieci szkolnych po r. 1922, powinno być około 20% całości, wynoszącej dziś ponad 1 miljon 300 tysięcy. Jacy to są przeważnie Niemcy i skąd oni są, pouczają choćby nazwiska tysięcy i tysięcy ludzi, wliczających się tam lub wliczonych do Niemców, ot dla przykładu obu posłów niemieckich na Sejm Rzpltej z okregu Katowic i obu z okręgu Królewskiej Huty, którymi są pp. Bernhard Jankowski, Hugo Nowak, Jan Rosumek (czyt. Rozumek), Ks. Otto Krayczyrski, podobnie jak wśród piętnastu nazwisk posłów grupy niemieckiej, wybranych obecnie na Sejm Śląski, znaduje się ośm nazwisk niemniej nam swojskich, które noszą pp. posłowie Dudek, Gompala czyt. Gąpała, Jurga, dr. Król, Pawlas, dr. Rojek, Jan Schmigiel czyt. Szmigiel, oraz bodaj sam Otto Ulitz, przyczem dla siedmiu pozostałych nie bez znaczenia będzie stwierdzenie przez pisma śląskie, że pięciu posłów grupy niemieckiej pochodzi z poza Śląska. Znaczy to, że w tym zbiorniku niespełna 300 tysięcy ludności, wliczającej się lub wliczanej jako niemiecka, przeważna część jest pochodzenia polskiego, a znaczna część jest tylko powierzchownie przerobiona na niemiecką gospodarczym, szkolnym i niemiecko - kościelnym naciskiem szczególnie ostatniego półwiecza przed wojną. Jest tu pole szerokie dla przyrodzonych i samorzutnych przemian, w których ludność pozornie tylko zniemczona powracałaby do macierzy.

A tymczasem? Okazuje się, że wbrew obliczeniom, wedle których ludności niemieckiej t. j. zniemczonej nie powinno być na Śląsku więcej niż około 20%, uzyskali Niemcy w wyborach do Sejmu Śląskiego z 24.IX.1922 (przy 73,5% głosujących) 28,4%, w wyborach do Sejmu Rzpltej z 4 III. 1928 (przy 91,7% głosujących) 35,4% w wyborach do Sejmu Śląskiego z 11.V. 1930 (przy 91% głosujących) 34%. Jednem słowem, zamiast oczekiwanej około $^1/_5$ głosów niemieckich, utrzymuje się i to nawet z wahaniami ku górze nieoczekiwana $^1/_3$ głosów niemieckich. Próby pocieszania się tem, że Niemcy głosują w 100% a Polacy nie, są nikłe, naprzód dlatego, że udział w głosowaniu jest wogóle znaczny, a następnie dlatego, że liczniejsze głosowanie po stronie niemieckiej jest samo przez się objawem właśnie niepocieszającym, skoro mowa o świadomości narodowej i o możliwych w niej przesunięciach. Jest zatem niedobrze.

Podobnie, jak w dziedzinie narodowościowego stanu ludności, jest też w zakresie narodowościowego rozkładu własności gospodarczej. Po przej-

ściu wschodniej części Górnego Śląska pod rządy polskie można było oczekiwać przesunięć we własności przez wycofywanie się kapitału niemieckiego a usadawianie się polskiego wprost lub czerpane ze źródeł zaprzyjaźnionych. Wydawało się to czemś poprostu przyrodzonem i koniecznem. W latach 1924 i 1925 jeszcze niemiecka własność górniczo-przemysłowa na Śląsku odczuwała konieczność współpracy z własnością polską na tyle, że przygotowywało się utworzenie zespolenia w t. zw. Holding'u, przez który własność polska miała otrzymać poważny udział we wszystkich przedsiębiorstwach. Dzisiaj wspomnienia o tem wszystkiem są snami o wielkości z minionych dni. Niemiecka własność na Śląsku nietylko gruntownie się utrwaliła, nietylko skrzepła w swej niemieckości, ale także nabywa własności dodatkowe w innych stronach Polski. W gospodarczym rozwoju własności polskiej na Śląsku nastał w ostatnich latach zastój, który, biorąc względnie tj. w zestawieniu z wzrostem prężności po stronie własności niemieckiej, jest kurczeniem się.

Zastraszającym objawem lekkomyślności obecnych rządów w tej właśnie dziedzinie własności gospodarczej na Śląsku jest umowa polsko-niemiecka t. zw. wyrównawcza lub likwidacyjna z 31-go pańdziernika 1929. Z mocy artykułów 92 i 297 Traktatu Wersalskiego, oraz dokładniejszych postanowień artykułów 6 i nast. Konwencji Genewskiej o Górnym Śląsku z 15-go maja 1922, Państwo Polskie otrzymało prawo wywłaszczenia wszelkiej należącej w r. 1922 do obywateli niemieckich własności wielkiego przemysłu i górnictwa na G. Śląsku, które doznaje pewnych ograniczeń w ciągu 15-lecia władania postanowień tej Konwencji, a bez ograniczeń może być stosowane od 1-go lipca 1937 przez zapowiedzenie wywłaszczenia w ciągu dwu lat następnych i wykonanie w ciągu czterech lat po zapowiedzi. W umowie z 30-go października 1929, przeciw której ratyfikowaniu tak poważnie podnosi się dobry zmysł narodowy społeczeństwa, zrzekł się Rząd Polski całkowicie tego prawa. Niemiecka własność górniczo-przemysłowa na Śląsku została w ten sposób zwolniona z jedynego a wiszącego nad nią niebezpieczeństwa, od którego zależało znaczenie głosu Państwa Polskiego, przemawiającego do tej własności niemieckiej w imię dobra Państwa. Stosowanie wywłaszczenia w czambuł, a przedewszystkiem przejmowanie przedsiębiorstw na własność państwową, wcale tu nie było jedynym i koniecznym sposobem działania. Wystarczyłoby zastosowanie tego prawa w niektórych tylko wypadkach istotnej konieczności, wystarczyłoby również równocześnie z wywłaczeniem nieprzyjaznego kapitału niemieckiego wprowadzenie innego kapitału bezpieczniejszego, wystarczyłaby przedewszystkiem w znacznej części sama możność zastowania wywłaszczenia na to, by własność niemiecka Śląsku w górnictwie i wielkim przemyśle weszła karnie i z własnym pożytkiem w całokształt gospodarczych zamierzeń Państwa na dłuższy okres naprzód. To pierwszorzędne i niezbędne narzędzie przeprowadzenia na Śląsku myśli gospodarczej Państwa Polskiego wydał Rząd z rąk Państwa w umowie z 31-go października 1929.

A przyczyna?

Przyczyną zastoju w rozwoju polskiej siły narodowej i gospodarczej na Śląsku i nawet kurczenia się jej prężności jest i może być tylko jedno: niedostateczna powaga, niedostateczny urok, niedostateczne znamię siły Polski, jako wyniki rządów lichych i pozbawionych głębszej myśli narodowej i gospodarczej oraz umiejętności rządzenia.

Niemczyzna na Śląsku doskonale zrozumiała, że rządy przewrotu majowego otwierają dla niej widoki, w których będzie mogła znakomicie utrwalać swe wpływy, rzucając cień na Państwo Polskie w oczach zarówno możnych właścicieli górniczo - przemysłowych, jak i szerokich warstw ludności.

Śląsk jest krajem o pokroju zachodnim. W takim kraju niema wśród ludności dwu poglądów na wartość prawa i rządów prawa w państwie, ale tylko jeden, mianowicie taki, że państwo, w którem podstawy prawa mogą być zachwiane, i ustawicznie nadal zachwiewane, jest na złej drodze. Wrażenie samego przewrotu w Państwie, a potem na Śląsku takich objawów nowego pojmowania prawa, jak ten, że mimo wyraźnego postanowienia art. 22-go ustawy konstytucyjnej z 15-go lipca 1920, zawierającej statut województwa śląskiego, iż wybory muszą się odbyć w ciągu 75 dni od rozwiązania Sejmu Śląskiego, został Sejm rozwiązany 12-go lutego 1929 r., a wybory odbyły się dopiero 11-go maja 1930, czyli nie po 2 i pół ale po 15-tu miesiącach, nie mówiąc już o pomniejszych powszednich zbaczaniach z drogi praworządności, musiało być wśród ludności śląskiej i głębokie i opłakane. Ta ludność musiała sobie mówić, że to wszystko jest jakoś bardzo niepoważne, że to prowadzi do rozstroju, że to rodzi wielką niepewność jutra i pojutrza państwowego. Tam niema wiary w dobrą przyszłość budowy bez prawa.

Śląsk jest wspaniałym szmatem ziemi wysokiego stanu gospodarczego. Tam ludzie, nietylko kierujący, ale najszerzej pracujący w tym pełnym ładu warsztacie, myślą gospodarczo i oceniają bieg rzeczy nie wedle szerokości rozwarcia tych samych zresztą ciągle gęb w okrzykach: „niech żyje“ i „dobra nasza“, ale wedle wyników gospodarczych i stanu gospodarczego. Otóż rządy gospodarcze pomajowe, kierowane tą myślą przewodnią, że wcale nie trzeba się uczyć spraw gospodarczych na to, by niemi kierować, obfitujące na wielkich

stanowiskach w życiu gospodarczem w postacie z nieprawdopodobnego zdarzenia, pyszałkowate, ale zupełnie nie zapobiegliwe w okresie pomyślnym, co szczególnie na Śląsku widziano i odczuwano w czasie strajku węglowego angielskiego, bezradne w okresie cięższym, rozrzutne i lekkomyślne w zakresie budżetowym, pozbawione wszelkiej istotnie twórczej myśli gospodarczej, a popadające w pierwociny marnego etatyzmu, są pośmiewiskiem kierowniczego świata gospodarczego śląskiego, a zarazem powodem rozgoryczenia szerokich warstw, które widzą, jak ta nieumiejętność podkopuje dobrobyt.

Śląsk jest obok Pomorza najbardziej wystawiony na niebezpieczeństwo zewnętrzne, a mowa prezydenta Hindenburga w Opolu 17-go września 1928 o tem, że niczego nie przebolano i niczego nie zapomniano, jest tu wskazówką aż nadto dobitną. A oto w ostatniem czteroleciu przewaga wpływów Niemiec nad wpływam Polski na gruncie międzynarodowym zarysowuje się, jako zjawisko nowe, z całą wyrazistością, m. in. w niektórych upokarzających rysach naszych układów ostatnich z Niemcami. Tam zaś, na Śląsku, istnieje szczególna wrażliwość w odczuwaniu takich przemian.

Śląsk przywykł do zwartego pochodu polskości przeciw niemczyźnie i potrzebuje go istotnie. Od lat 30-tu na czele tego pochodu kroczył pan Wojciech Korfanty, który, rzec można, wywiódł lud śląski z domu niewoli. Nagle, od czasu przewrotu majowego, zjawiają się tam nowi działacze, którzy wyobrażają sobie, że usuną całkowicie wpływ Korfantego i sami narzucą się ludowi śląskiemu na przywódców, rozbijają, a raczej robią wszystko, co możliwe, aby rozbić wszelkie zrzeszenia narodowego i katolickiego ruchu polskiego, a potem żalą się, niewiniątka, że to ten przybłęda Korfanty, który niewiadomo skąd wziął się na Śląsku, rozbija obóz polski, którego przyrodzonymi przywódcami są oni, prastarzy od lat czterech włodarze na tej ziemi. A lud patrzy na to niesłychane widowisko wysiłków rządowych polskich ze zgorszeniem albo oburzeniem, albo zniechęceniem...

Śląsk ma także ruch polityczny niemiecki, którego przywódcy z niejednego pieca chleb jedli, a tam piece są wysokie. Sposobami rządzenia, w których sporo miejsca i czasu zajmują niedojrzałe pomysły niedojrzałych działaczy i niedojrzałych drugich oddziałów, w rodzaju przegranej sprawy Ulitza, nie wiele się tam wskóra, a przyboczne pałkarstwo obozu rządzącego powagi władzy polskiej nie przyniesie. Takie rządy to woda na młyn roboty niemieckiej.

I tak oto zrodziło się na Śląsku to, co krótko i bardzo poprostu nazywa się: nieufność, a Niemcy nieomieszkali korzystać dzień w dzień z tych nastrojów dla utrzymywania swych wpływów wśród tych zastępów ludności, z krwi i kości polskiej, a powierzchownie zniemczonej, które musiałyby przyrodzonym odpływem odwracać się od nich ku Polsce, gdyby wszystko było w porządku.

Dzieje polskości Śląska mówią same przez się o wartości dzisiejszych naszych rządów, i tam i w całem państwie, niejako ostatnie słowo... Wszakże podstawowem mniemaniem przewrotu majowego jest pogląd, że potrzebna jest tylko władza rządowa, a społeczeństwo i jego życie obywatelskie właściwie przeszkadzają. A właśnie Górny Śląsk jest ziemią, na której przez sześć stuleci nie było rządu polskiego, ani wojewody polskiego, ani starosty polskiego, ani policjanta polskiego, ale była ludność polska, która przez wieki przetrwała i dotrwała. Takich prawd życia i dziejów nie przemogą moce przewrotu majowego, które są na złej drodze, szkodzą odrodzonej Polsce w bezcennym pierwszym okresie odbudowy, a im prędzej się skończą, tem lepiej dla naszej przyszłości, bo burzą i rozstrajają tam, gdzie trzeba wykuwać sobie dobre i mocne jutro w twardym, uczciwym, umiejętnym i zgodnym trudzie.

STANISŁAW STROŃSKI

OTCHŁAŃ I KOMIWOJAŻER

SWOISTA, niespotykana dotąd w dziejach „klęska nadmiaru”, w której tak jaskrawo zogniskowało się, ostatniemi czasy, światowe przesilenie gospodarcze, zasługuje ze wszech miar na wysiłek myśli badawczej. Klęska ta świadczyć się zdaje (co zresztą zdawna zauważyć było można), że się ma pod koniec industrjalistycznemu światu. Nie mało znaczy, jeśli jest trafne stwierdzenie powyższe. Bowiem industrjalizm, wraz ze swą obecną postacią przekwitową, stanowi materjalną podstawę, z której wyrosła cała cywilizacja wielkomieszczańska XIX stulecia: odrębna, pozbawiona analogij, zarówno w stosunku do europejskiej przeszłości, jak wobec starodawnych, lecz nadal żywych cywilizacyj wschodu.

Zdarzało się wprawdzie w dziejach, że z rozkwitu pojedyńczego miasta lub niewielkiego zespołu miast, z ich działalności przemysłowej i handlowej wyrastała wielka potęga polityczna i cywilizacyjna. Nie zdarzyło się natomiast nigdy, by na działalności tego rodzaju oraz na bycie miejskim oparła się całą siłą potęga polityczna i rozkwit gospodarczy szeregu wielkich mocarstw, przodujących światu. W ich łonie wielkie miasto zapanowało nad miejscową wsią liczebnie, produkcyjnie, obyczajowo i umysłowo, w sposób tak bezwzględny, jak nigdy dotąd. Świadczą o tem zewnętrznie nietylko liczne wielomiljonowe „*Weltstadt*y“, lecz niemniej fakt, że w Niemczech, Francji, Ameryce ludność zurbanizowana dochodzi do 50—60% ogółu, w Anglji zaś do—80.

Poczęło się to wszystko, jak wiadomo, dawno już, w wieku XVIII, gdy długotrwała absolutystyczna konsolidacja państw spowodowała rozro-

dzenie wielkich mas ludzkich. Rewolucja francuska obdarzyła je ideą demokratyczną, genjusz zaś angielski—maszyną parową. Dziś znajdujemy się u kresu owej ewolucji, wszczętej wówczas, gdy dogorywała, wzięta poza nawias ogólno światowego rozwoju, Polska. Kres ten znamionuje taki rozwój maszyny komunikacyjnej, który umożliwił mocarstwom wielkokapitalistycznym promieniowanie potęgą swą i kulturą materjalną na cały glob. Znamionuje go również taki rozwój maszyny wytwórczej, który nietylko zdolny jest zaspokoić wszystkie potrzeby materjalne ludności, lecz siłą swą produkcyjną potrzeby te wogóle coraz bardziej poczyna przerastać.

Niezmiernie ważkie stąd wypływają następstwa, odmienne jednak dla całości światowego gospodarstwa, oraz dla poszczególnych jego części. Parokrotnie już na tem miejscu miałem sposobność stwierdzić, że świat politycznie czynny dzieli się na dwie „połowy“: przesyconą kapitałem i towarem oraz niedorozwiniętą gospodarczo i wygłodzoną kapitalistycznie. Nadprodukcji zatem absolutnej dóbr przemysłowych oraz kapitału dotąd w gospodarstwie światowem, rozumianem jako całość, niema. Ujawniać się ona poczyna dopiero w wytwórczości zindustrjalizowanego rolnictwa, co zresztą stanowi także moment pierwszorzędnej doniosłości. W przemyśle natomiast i w finansach coraz ostrzej i groźniej daje się we znaki nadprodukcja względna, w obrębie grupy mocarstw wielkokapitalistycznych. Na czas jakiś mogłaby ona znaleźć dla siebie na rynku światowym miejsce, gdyby jego pojemność została rozszerzona przez rozwój gospodarczy państw grupy „wygłodzonej“, zwłaszcza Rosji. Wynika też z powyższego, że hyperindustrjalizm zachodni ma jeszcze przed sobą zadanie do spełnienia, jego bowiem zdolność produkcyjna, przerastająca spożycie własne, potrzebna jest jeszcze na to, by zapłodnić gospodarczo drugą „połowę“ świata.

Realizacja tego zadania napotyka wszakże na tak tragiczne przeszkody, że zawarta w jego łonie potencjalna konieczność przekształcenia ustroju wielkokapitalistycznego i cywilizacji wielkomieszczańskiej kojarzy się z niebezpieczeństwem wprost katastrofy cywilizacyjnej. Niebezpieczeństwo to rozwija się na tle niejednakowego stosunku poszczególnych państw wielkokapitalistycznych do samego zjawiska hyperindustrjalizmu. W zasadniczo odmiennem położeniu znajdują się tutaj państwa, rozporządzające dostatecznie zasobnym i wielkim, w stosunku do swej ludności, obszarem gospodarczym, zdolne zatem ludności tej dostarczyć nieodzownej ilości najważniejszych surowców i zwłaszcza żywności; oraz inne, które tej zdolności nie posiadają, gdyż są przeludnione.

Klasyczny przykład pierwszego typu stanowi Ameryka. W Ameryce istnieje wysoki absolutny nadmiar kapitału, dóbr przemysłowych i rolnych, oraz surowców. Skutkiem jednak niezmiernie intensywnej wydajności, technicznie i organizacyjnie do najwyższego stopnia zracjonalizowanego aparatu produkcyjnego, powstaje tam zarazem, podobnie zresztą jak i gdzieindziej, także nadmiar rąk do pracy. Warsztat gospodarstwa narodowego wysoko ponad miarę zaspokaja wszystkie potrzeby ludności, względnie dostarcza towaru więcej, niż potrzeba na racjonalny z zagranicą obrót zamienny. Nadmiar ten działa wyraźnie szkodliwie, obniża ceny, zagraża rentowności przedsiębiorstw, powoduje względny zastój i bezrobocie. Co począć z tym paradoksem ekonomicznym?

Ameryka nie ma co do tego żadnych wątpliwości: zabiega i walczy o nowe, zagraniczne rynki zbytu oraz tereny inwestycyjne. Wyjście tego rodzaju może być racjonalne tylko dopóty, dopóki trwa nieustanny obrót t. j. dopóki napływający kapitał ponownie jest kredytowany lub inwestowany zagranicą.

Wszelako obrót taki trwać może tylko do czasu, gdy obszary gospodarczo chłonne zostaną nasycone. W ostatniej fazie zakończyć się musi z reguły niewypłacalnością jakiegoś ostatniego dłużnika lub dłużników, którzy (w analogji do sprawy długów i odszkodowań wojennych) na zacieśnionej przez równomierny rozwój gospodarczy arenie światowej już nie znajdą okazji do wyrobienia, w obrocie międzynarodowym, zarobku na spłatę zobowiązań wobec Ameryki.

Pozatem jednak, dla kraju typowo samowystarczalnego, jakim jest Ameryka, tego rodzaju obrót własnym nadmiarem nie stanowi bynajmniej nieuchronnej konieczności. Jeśli istnieje wolny kapitał, surowiec oraz ręce do pracy ponad miarę potrzeb, to znaczy, że powinny powstać i zostać zaspokojone miejscowe potrzeby nowe, doskonalące życie tak szczęśliwej zbiorowości. Mogą one rozwijać się już to w kierunku osiągnięcia wzmożonego spożycia przez podniesienie stopy życiowej szerokich warstw ludności, lub nawet w kierunku świadczeń społecznych. Psychologicznie najdostępniejsza jest droga powstawania nowych gałęzi wytwórczości lub też nowych wielkich przedsięwzięć publicznych, pod warunkiem, by owe potrzeby były chętnie przez ogół odczuwane i dlań zrozumiałe. Niestety jednak, poza regulacją Missisipi oraz innemi pracami tego rodzaju, krąg potrzeb, wytworzonych przez cywilizację wielkomieszczańską, szeroki w dziedzinie materjalnej, wyzuty jest niemal doszczętnie z tego, co na niedościgłym dla nas poziomie duchowym i estetycznym utrzymywało kulturę wieków minionych. Trudno nawet wyobrazić sobie, jakiego rodzaju i miary inwestycje kulturalne mogłyby w moralnej atmosferze wielkomieszczaństwa stanowić odpowiednik tego bohaterskiego wysiłku, na jaki w stosunku do swej siły gospodarczej zdobywały się miasta średniowieczne, wznosząc wielkie katedry gotyckie. Takich wiekopomnych porywów ducha cywilizacja wielkomieszczańska nie zna. Prędzej zdobyć się mogą Stany na utrzymywanie z zasiłków rzesz bezrobotnych, nie bez pewnej analogji społecznej ze starorzymskim systemem *panem et circenses*.

Anglja i Niemcy nie mogłyby, podobnie jak Stany, miljarda dolarów rocznie poświęcić na redukcję jednych a rozwinięcie nowych gałęzi wytwórczości, ani też ograniczyć obrotu handlowego z zagranicą na rzecz wewnętrznego. Eksportować towar lub kapitał muszą, bo nie wyżywiłyby swej ludności, nie sprowadzając z zagranicy środków spożywczych wzamian za swe fabrykaty lub procenty. Niemcy ponadto muszą mieć bilans handlowy czynny dla pokrycia biernego salda ich bilansu płatniczego (długi, odszkodowania). Dla tych państw ulga w ciasnocie rynku światowego, osiągnięta przez zapłodnienie kapitalistyczne i gospodarczy rozwój „wygłodzonej“ jego części, staje się szczególnie pilną. Ale i ta ulga byłaby tylko czasową potrzebą, do chwili osiągnięcia przez państwa tej „połowy“—samodzielności gospodarczej.

To już się zapowiadało przed wielką wojną w Rosji, gdy posunęła ona znacznie rozwój swego przemysłu i nie chciała odnowić korzystnego dla Niemiec, z czasu wojny z Japonją, traktatu handlowego. To jest nieuniknione i obecnie, bo z chwilą, gdy wszystkie większe i ludniejsze państwa globu otrzymają dostateczny zasób kapitału obcego, to wobec absolutnej światowej nadprodukcji płodów rolnych nie omieszkają otrzymanego kapitału zużyć przedewszystkiem na inwestycje przemysłowe: dla ograniczenia importu, łatwiejszego utrzymania czynnego bilansu handlowego, łatwiejszego spłacenia przezeń zagranicznych zobowiązań i wogóle ograniczenia zależności od zagranicy.

Wtedy jako zjawisko stałe pozostanie już tylko obrót międzynarodowy względnie, ale powszechnie zrównoważony. To nie wyklucza wprawdzie pewnej przewagi w wywozie fabrykatów z pewnych krajów, płodów zaś rolnych z innych, ale niewątpliwie zredukuje tę przewagę, pomimo zwiększonych obrotów ogólnych, w porównaniu ze stanem obecnym. Na rynku światowym nie będzie już miejsca na przeciwwywóz rolny z krajów mniej uprzemysłowionych tak wielki, by utrzymał w równowadze hypereksport fabrykatów lub kapitału, niezbędny dla krajów ultra-industrjalistycznych (a przeludnionych), by wyżywić coraz bardziej wzrastający nadmiar ich ludności. W takiej zaś, niebezpośredniej jeszcze wprawdzie, lecz niemniej bardzo realnej perspektywie nie pozostanie Anglji i Niemcom nic więcej do zrobienia, jak wzmożenie emigracji do kolonij zamorskich, lub wogóle na obczyznę, ile że Niemcy kolonij nie posiadają. Stąd na drugim planie ewolucji światowego gospodarstwa i światowego układu politycznych sił międzynarodowych zarysowuje się: po pierwsze, rozstrzelenie na gospodarstwa narodowe autonomiczne o *maximum* samowystarczalności; powtóre walka o tereny penetracji gospodarczej (już dziś, a nawet podczas wielkiej wojny, rozpoczęta) oraz, po trzecie, walka wprost o nowe obszary gospodarcze i osiedleńcze, o ziemię.

Narazie jednak do najwyższego natężenia dochodzi dopiero faza poprzedzająca: walki o tereny penetracji oraz rozszerzenie światowego rynku zbytu w kierunku wschodnim, a krzyżuje ją i komplikuje niemieckie dążenie do politycznej na tem tle ekspansji w tymże kierunku. Jeśli ten etap nie zostanie szczęśliwie przebyty, to pod naciskiem „klęski nadmiaru“ grozi hyperindustrjalistyczej połowie świata rozkład gospodarczy i społeczny, jako skutek wzrastającego zastoju i bezrobocia. Rozkład odwrotny, z powodu zbyt długotrwałego wygłodzenia, zagraża jeszcze bliżej drugiej, gospodarczo biernej połowie świata, zwłaszcza Rosji Sowieckiej. Ponieważ z powodu ustroju Rosji skojarzenie gospodarcze pomiędzy nią a grupą wielkokapitalistyczną jest niezmiernie trudne, przeto stanęły naprzeciw siebie te dwie dla siebie nieodzowne a jednak wrogie potęgi, grożąc zmiażdżeniem Polsce.

Nie pierwszy to przełom w dziejach, w którym decydującą rolę odgrywa stan nierównowagi gospodarczej. Niejednokrotnie już przyprowadzał on ludzkość na skraj przepaści, wywoływał głębokie przewroty, odradzając, a niekiedy gubiąc cywilizacje. I dziś żyjemy jak na wulkanie, a w Polsce zwłaszcza, na samym jego, dotąd nieczynnym, kraterze. Gdyby przypuścić, że stan coraz wzrastającego naprężenia potrwa jeszcze długo, nie zażegnany jakiemś wyjściem, choćby prowizorycznem to powszechna katastrofa byłaby nieunikniona. Dotknęłaby przedewszystkiem nas, jako obszar, przez który przechodzi geograficzna oś konfliktu, jako obszar pod względem gospodarczym, po Rosji Sowieckiej, najmniej odporny, przez Niemców trzymany w finansowem oblężeniu.

Nikt przeto bardziej, niźli my, „klucz sklepienny nowej rownowagi europejskiej“, nie jest zainteresowany w tem, ażeby nadciągający przełom dziejowy, jakoteż ostatnie światowe zadanie, jakie ma jeszcze przed sobą wielki kapitalizm zachodni, rozwiązane zostały w sposób istotnie dodatni, to znaczy taki, któryby ani cywilizacji europejskiej nie pogrzebał, ani — Polski. Przypadł nam bowiem w udziale tragiczny zaszczyt, iż losami naszemi znaczymy powstawanie i przemaganie epok. Przed laty 140 świat, dziś konający, mógł zrodzić się dlatego, że Polska przyjęła w pierś swoją trzy groty śmiertelne, odwracając je przez to od piersi Francji rewolucyjnej, brzemiennej w Napoleona.

Przełom dzisiejszy również grozi Polsce niebezpieczeństwami, spotęgowanemi jeszcze przez zbieżność światowego przesilenia gospodarczego z kryzysem twórczej myśli politycznej w świecie. Poziom intelektualny wielkich demokracyj kapitalistycznych zachodu (z częściowem wyłączeniem Niemiec) znajduje się głęboko poniżej kwalifikacyj, jakieby posiadać musiał dla świadomego i celowego organizowania ewolucji historycznej. Wprawdzie proces historyczny w przeszłości też przeważnie stanowił wypadkową *„des Zusammfallens blinder Krafte“*. Jednak należy stwierdzić, że na tym stopniu cywilizacyjnego rozwoju i politycznej potęgi, który osiągnęło wielkomieszczaństwo, najzupełniejszy brak jakiegokolwiek postępu w tej dziedzinie jest równoznaczny z uwstecznieniem.

A tak się stało, że po żywiołowym wybuchu wielkiej wojny i żywiołowej klęsce Niemiec, niemniej żywiołowo rozwija się reakcja na ich korzyść. Żywiołami, które ją popierają, są przedewszystkiem: powszechny nacisk gospodarczy „klęski nadmiaru” drobno-rentjerskie umiłowanie wygodnego życia, oraz (wobec Włoch) fałszywie rozumiany egoizm narodowy Francji, faworyzowane przez radykalestyczny obłęd pacyfizmu, wreszcie — namiętność odwetowa Niemiec.

Sposób, w jaki na Polskę naciera konjunktura międzynarodowa, forsowana przez żywioły powyższe, świadczy aż nadto dla nas dobitnie, że światowy kryzys natury materjalnej zdublowany został bankructwem wielkomieszczańskiego racjonalizmu w zakresie zjawisk życia politycznego. Nastąpiło zatrucie intelektu przez rozkładowy wpływ absurdalnych doktryn społeczno-radykalnych. Wyrazem bankructwa tego jest pacyfizm, syndykiem masy upadłości intelektualnej p. min. Arystydes Briand. Żywiołowy odruch i dziecinna ułuda podjęły się kształtowania podstaw organizacyjnych dalszego międzynarodowego rozwoju człowieczeństwa. To zatrucie, jak złowrogie dymy dobywa się ze szczelin politycznego krateru, na którym nieubłagany wyrok geografji tak bezlitośnie zamieścił Państwo Polskie.

Przestrzenny plan działań, jakie jeszcze ma do wypełnienia hyperindustrjalizm zachodni, rozwija się wyłącznie w kierunku najmniejszego oporu. Nie może nawet być inaczej, skoro ani z samej natury zjawiska hyperindustrjalistycznego, ani z jego możliwości i perspektyw rozwojowych, ani

z konsekwencyj dla kształtowania się przyszłej równowagi politycznej globu — nikt nawet nie próbuje zdać sobie sprawy. Nikt też oczywiście nie przemyśliwa nad tem, do czego należy dążyć w zakresie kształtowania tej przyszłej równowagi ogólnoświatowej. Ignorancja i ciasnota poglądów, nawet w zakresie własnych autonomicznych racyj stanu poszczególnych mocarstw, instynktowo - duchowa skłonność do zaspakajania tylko najbliższych potrzeb lub zażegnywania najbliższych bolączek, sięgnęła, jak wiadomo, aż do polityki lokarneńskiej, aż do spuszczenia Niemiec z łańcuszka, bez gwarancyj zastępczych i bez żadnego rachunku prawdopodobieństwa, co stąd wyniknąć może dla Francji, Włoch, a nawet Anglji. Tembardziej w stosunku do przyszłej roli Moskwy w równowadze światowej panują pojęcia mętne wśród polityków zachodnich.

W okolicznościach powyższych jest szczęściem w nieszczęściu, że proces dziejowy, rozwijający się przeważnie żywiołowo, posiada pewną logikę wewnętrzną, tę samą, która zapewniała dodatnią ewolucję w przeszłości, mimo zawsze tylko lokalnie celowej akcji ludzkiej. Takim przewodnim motywem naszej międzynarodowo - politycznej współczesności jest fakt, że kapitał zachodni bewzględnie na wschód podążać musi, pod grozą samounicestwienia. Rozpoczął tedy od Niemiec, ale to ani jemu, ani Niemcom wystarczyć nie może. Dostęp do Niemiec umożliwiony został nie przez solidną konstrukcję dyplomatyczną, lecz dzięki obfitemu nasmarowaniu drogi mydłem złudzeń pacyfistycznych. Dostęp dalszy próbuje się stworzyć również według tychże „zasad" intelektualnego bankructwa zachodniej polityki wielkomieszczańskiej. Szczególnie bezmyślne jest *intermezzo* z „rozejmem celnym", który miałby wtłoczyć zachodnią klęskę przemysłowego nadmiaru w zacieśnioną przez głód kapitału pojemność rynków wschodnich, bez ich kapitalistycznego odżywienia. Oczywiście gospodarstwa wschodnie runęłyby w szybkiem tempie, a zachód począłby się znów, ale już beznadziejnie dusić nadmiarem. Punkt ciężkości jednak stanowiło przedsięwzięcie pacyfistycznego namydlenia stosunku Niemiec i Polski, tak by naprzód wprowadzić kapitał do Polski wraz z polityczną przewagą Niemiec. Na drugim zaś planie miał się znajdować ingres kapitału do Rosji Sowieckiej pod osłoną niemiecko - polską, ale bez żadnej dla nas poważnej przeciwniemieckiej gwarancji. Nieco tajemniczy choć niegłęboki ten plan pokrzyżowały poczęści same Niemcy, okazując niepohamowaną zachłanność już nietylko w stosunku do Polski, ale także do Moskwy.

Polska, rządzona przez „sanację", i przez jej radosną zapobiegliwość finansową, doszczętnie wyszlamowana z odporności na głód kapitału, przez tęż „sanację" wprowadzona została naprzód na namydlony pacyficyzmem pochyły pomost „zgody" z Niemcami. Przyświecała też Polsce nadzieja, że tak najprędzej da się coś z kapitału obcego uszczknąć. Gdy wszakże postawa Niemiec zdradziła, że jest to o tyle wątpliwe, o ile niewątpliwie zamierzają one uszczknąć Pomorze oraz oddać pod swą gospodarczą i polityczną hegemonję całą Polskę, poczęła się wytwarzać pozornie sytuacja bez wyjścia.

Wyjście otwarte zostało, po części automatycznie skutkiem równoczesnego nacisku Niemiec na Polskę i Moskwę, który zachęcał do równoległego odporu. Moment zaś ważki wprowadziła również świadoma akcja polityczna polska. Akcję tę podjął obóz narodowy w osobie swego wodza. Bezpośrednio zdemaskowała ona ciemne konszachty, zmierzające do wyzyskania ciężkiego położenia naszego kraju oraz lekkomyślności kół rządzących na rzecz ewentualnej samobójczej awantury przeciwko Moskwie, z Niemcami na karku. Ponadto akcja ta toruje także drogę doraźnemu równoległemu działaniu obronnemu Polski i Rosji Sowieckiej.

Jeśli się ono pomyślnie rozwinie, to oczekiwaćby wypadało infiltracji kapitału zachodniego do Polski, przy równoczesnych analogicznych próbach względem Rosji Sowieckiej. Gdyby się nawet te ostatnie, ze względu na jej ustrój i stan dezorganizacji, miały nie powieść, to w każdym razie korzyść przypadłaby w udziale Polsce (wraz z kompleksem państw sukcesyjnych) oraz zachodowi, który zyskałby pewien awans i ulgę w swej klęsce nadmiaru. Oblicze konjunktury politycznej w zakresie stosunku sił pomiędzy Niemcami oraz ich wschodnimi sąsiadami uległoby korzystnej dla tych ostatnich zmianie, pozostawiając jednak w Moskwie pole depresji. Przeciwnie zaś, gdyby i Moskwa odrodziła się pod względem gospodarczym oraz wewnętrzno-politycznym, wówczas nastąpiłaby dalsza jeszcze prolongata i rozszerzenie ulgi dla zachodniej klęski nadmiaru oraz dalszy spokojny rozwój światowej równowagi gospodarczej, aż do chwili względnego usamodzielnienia rosyjskiego gospodarstwa narodowego. Układ światowej i europejskiej równowagi politycznej ukształtowałby się wtedy oczywiście również inaczej, niż przy rosyjskiej depresji.

Temi, jeszcze pozbawionemi doraźnej aktualności, ale mającemi właśnie otrzymać impuls początkowy perspektywami, „komiwojażerowie" przekwitającego industrjalizmu interesują się niedostatecznie, powierzchownie i przytem wyłącznie tylko pod kątem bardzo ciasno pojętej, własnej racji stanu. Losy zaś Polski tak nierozerwalnie związane są z taką lub inną przyszłością polityczną globu, że wykreślenie w tym względzie naszych dróg własnych, łączących konieczności rozwojowe człowieczeństwa z naszym bytem państwowym i pierwszorzędnem stanowiskiem międzynarodowem, stało się dla nas bardziej niźli dla kogokolwiekbądź nieodzowne.

Polski współtwórca traktatu wersalskiego, Roman Dmowski, posiada wszelkie dane niezbędnego autorytetu, ażeby podjąć w tym kierunku inicjatywę. Jako krok polityczny o celach doraźnych, inicjatywa ta już wywarła niemały wpływ na wypadki. Niemniej cenna jest jako punkt wyjście dla pracy naszej myśli badawczej nad perspektywą rozwoju, który minął, który się staje i do którego dążyć należy. Jest to zadanie nie tak wprawdzie naglące, jak interwencja taktyczna bezpośrednia w pewnych momentach. Jednak teorja musi być ustalona i w pogotowiu trzymana, by służyć jako drogowskaz przy wszelkich okazjach, jakie dla jej urzeczywistnienia przyszłość przynieść może.

Im chaotyczniej przeto i bezradniej kręci się ponad rwącym odmętem dziejów współczesnych strupieszały racjonalizm cywilizacji wielkomieszczańskiej, im bardziej błąka się nad otchłanią katastrofy powszechnej „komiwojażer" przekwitającego industrjalizmu, tem usilniej powinna pracować polska myśl polityczna nad wykreślaniem twórczego *lux in tenebris*.

Dla siebie samej, dla sprzymierzeńców i dla świata.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

BAJECZNE KARJERY

PARĘ przykładów, jak się to robi, jak się do tego dochodzi — wszystkie, tym razem, z Niemiec zaczerpnięte.

Weźmy na pierwszy ogień Hessów.

Wielkość ich zaczyna się z landgrafem Filipem „Wielkodusznym“ (1518 — 57), dwużeńcem i dzięki tej okoliczności — gorliwym poplecznikiem luteranizmu. Wnuk jego, Maurycy Uczony (1592 — 1637), alchemik, (jak zapewne już i dziadek), zakłada w Kasslu pierwszą kapitułę masońską (Różokrzyżowcową); praprawnuk tegoż, Fryderyk I, poślubia kuzynkę szwedzką i osiada na tronie Karola XII, Karola-Gustawa i Gustawa-Adolfa, wszystkich trzech potomków w prostej linji wspomnianego landgrafa Filipa. Synowie króla Fryderyka, landgraf Fryderyk II (1760 — 85), żonaty z księżniczką Marją angielską, córką Jerzego II, osacza zbuntowanych przeciwko Anglji Jakobitów w krwawej rzezi pod Culloden, poczem — w nader podejrzanych okolicznościach — przyjmuje (1749) katolicyzm, już z myślą o koronie polskiej, po którą to koronę sięga istotnie w dwadzieścia lat później, w najmniej sprzyjających okolicznościach, dopomagając tem pośrednio druhowi — Fryderykowi II pruskiemu do ostatecznego pogrążenia Polski w otchłań pierwszego rozbioru.

I jeżeli już ten Fryderyk II heski, nie żyjący z żoną i dziećmi rozpustnik, potrafił sprzedawać skórę poddanych swoich spokrewnionej zę sobą Anglji na jej wojnę amerykańską i z tego źródła ciągnął dochody na mecenat i rozpustę, to syn jego starszy, Wilhelm IX (1725 — 1821), amfitrjon osławionego konwentu masońskiego, zgromadzonego w rezydencji jego Wilhelmsbadzie i protektor pierwszego z dynastji Rotszyldów, a kandydat, jak i papa dobrodziej, na tron polski — „o umyśle ograniczonym i dzikim“, (był) — jak o nim pisała Katarzyna — „znienawidzony przez własnych poddanych“, z których krwi i potu, a przy gorliwym współudziale Rotszyldów, ciułał sobie olbrzymie kapitały i wznosił wystawne pałace. Młodszy brat tegoż landgrafa, Karol, adept kabalisty żydowskiego Hirschfelda, był jednym z najwybitniejszych okultystów XVIII-go stulecia.

Z młodszej linji rodu landgrafowskiego wspomnieć wypada Ludwika X, wielkiego księcia hesko-darmsztadzkiego (1790 — 1830), kabalistę ze szkoły słynnego Szmula-Chaima Falka, który to książę, spowinowacony blisko z licznemi dworami europejskiemi (Prusami, Rosją, Weimarem), prapradziadem był między innemi nieszczęśliwej ostatniej carowej Alicji.

Jeszcze bajeczniejszą była karjera Koburgów.

Ernest II, książę sasko - kobursko - gotajski (1760—1804), członek loży „Kosmopolita“ *vel* „Wieniec rutowy“, nazwanej później na cześć jego „Ernest pod kompasem“, przygarnął w r. 1785 na dwór swój wypędzonego właśnie z Bawarji osławionego masona „illuminata” Weisshaupta (1748—1830), najskuteczniejszego, jak dzisiaj już wiadomo, destruktora tronów i ołtarzy.

Tak wyglądała jedna strona medalu. Druga zaś? Rezultaty? Ernest II był skromnem sobie książątkiem niemieckim. Ale oto jak się powiodło najbliższym jego agnatom:

Stolec książęcy gotajski osiedli po śmierci Ernesta najpierw dwaj jego synowe, August (zm. 1821) i Fryderyk (zm. 1825), potem zaś daleki jego kuzyn, także Ernest, z linji Wettynów saalfeldzkich (1826—44). Ta linja zrobiła już karjerę — jeżeli wolno nam tu tak trywjalnie się wyrazić — „kokosową“. Bo popatrzmy tylko!

Młodszy syn co dopiero wspomnianego przez nas Ernesta ożenił się w r. 1840 z królową Wiktorją angielską i został praojcem całej obecnej dynastji angielskiej. Brat jego, Leopold, otrzymał najpierw koronę grecką (1830), potem zaś belgijską (1831); linjom zaś jego synów, urodzonych z Antonji von Kohari, dostały się kolejno w udziale trony portugalski (1837) i bułgarski (1887).

Więc czy nie miał racji ten stary rabin, co dowodził księciu Ferdynandowi Brunświckiemu że wolnomularstwo jest posiadaczem najwyższej władzy?

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

TŁO POLITYCZNE RENESANSU WŁOSKIEGO

NIE znam w naukach historycznych faktu bardziej zastanawiającego, jak ten, że zło pozbawione jest mocy twórczej; nie zdoła ono zdziałać niczego o własnych siłach. Ludzie złej woli nie wytworzą nigdy niczego na dłuższą notę, jeżeli nie uzyskają poparcia od osób dobrej woli, zbałamuconych, uwiedzionych w służbę zła. Bezsilne jest zło w życiu zbiorowem, dopóki nie urządzi z siebie imitacji dobra, ażeby móc wyłudzić współpracę obywateli pragnących dobra. Dlatego-to w życiu zbiorowem głupota (a choćby tylko naiwność) jest gorsza od samego zła, nie byłoby bowiem zła w życiu publicznem, gdyby nie znajdowało oparcia pomiędzy dobrymi, gdyby nie było przejmowane w najlepszej myśli.

Fakt ten uzupełnia się logicznie innym: Zło urządza zawsze imitację dobra. Niema takiego sobka w życiu publicznem, którzyby nie udawał ofiarnika; niema takiego gwałtownika, któryby nie chciał uchodzić za szafarza wyższej sprawiedliwości. Zdzierstwo, bezprawie, terror, każą się uważać za opatrznościowe zarządzenia, a powodzenie ich zależy od tego, czy imitacja się uda.

Jest w człowieku jakiś „mus“, zniewalający nadawać złu pozory dobra, stanowi to zagadkowy zaiste hołd, składany dobru przez złych. Gdyby np. opanowali jakieś społeczeństwo truciciele i zbóje... Ależ poco nam to „gdyby“, skoro to działo się nieraz naprawdę!

Klasycznym okresem tych zbrodniarzy jest renesans włoski. Czasy kondotjerów, zamienionych na książąt panujących! Blask literatury, moc

nauki, a szczyty sztuki, i obok tych wspaniałości co za nędza polityczna! Nigdzie armji włoskiej, czy choćby florenckiej np., tylko same wojska prywatne, związane z osobą tego czy owego kondotjera i jego dziedziców, choćby książąt. Włosi byli już w wieku XV świadomi tego, jako stanowią jeden naród (przedsłannicy tej idei zjawiają się jeszcze pod koniec XIII w.) i dążyli ofiarnie, wytrwale, często namiętnie do zjednoczenia. Wmawiano w siebie, że ten lub ów ród kondotjerski powołany jest do tego, ażeby pokonawszy współzawodników, rozszerzając własne panowanie, dokonał wreszcie zjednoczenia Italji. A więc truj nas, morduj, uprawiaj skrytobójstwa, konfiskuj majętności nasze, wtrącaj nas do więzień i przepędzaj na wygnanie, przelewaj krew bratnią, wyprawiaj z nami, co zechcesz, byle na tem korzystało przyszłe zjednoczenie Italji. Ten i ów kondotjer udawał też, jakoby pragnął tego samego, co dobrzy synowie Italji, wygrywał ideały obywateli przeciwko nim samym. Ale oni mniemali, że kondotjer-książe wysługuje się ich dążnościom i wybaczali mu chętnie, bardzo chętnie, ohydne zbrodnie; rozgrzeszali go w imię Ojczyzny.

Nawet nie poprzestawali na tem. Kochali zbrodniarza pomimo zbrodniczości jego, delektowali się nim, bo upatrywali w nim zbawcę Włoch. Jakżeż im zależało na tem, żeby ten, którego mieli za męża opatrznościowego, miał zwolenników w całych Włoszech, żeby był znany, sławiony, ceniony, poważany; tak jest, nawet poważany i szanowany. Wybitni mężowie kryli zbrodnie księcia - kondotjera, pokrywali je nieraz własną powagą, a gdy się zataić nie dały, usprawiedliwiali postępki swego wybrańca, rzekomego wybawiciela i zjednoczyciela Włoch, tłumaczyli je, objaśniali dobrem publicznem. Silne charaktery, tęgie umysły i wielkie serca Włoch renesansu szły w ten sposób w służbę kondotjerów, książąt panujących wyłącznie swą siłą zabrojną, częstokroć pozbawionych charakteru i ludzi bez serca dla sprawy publicznej. Ofiara złożona na ołtarzu Ojczyzny! A za przykładem tych nalepszych szły tem chętniej, śmielej i dalej całe rzesze karjerowiczów, żołdaków kondotjera, dzielących się łupami w opanowanym kraju.

Nastawał opaczny porządek rzeczy. Po pewnym czasie system kondotjersko - książęcy zadomowił się, przylgnął niejako do umysłów, i stopniowo wydawał się coraz bardziej stanem naturalnym. Wtedy niepotrzebnymi książętom stali się ci najlepsi, którzy wmawiali w nich, że mają służyć za narzędzie jakiejś idei. Włochy stały się własnością tych, którzy ciągnęli osobiste korzyści z rządów, opartych na terrorze. Były to typowe rządy niesumiennych zdobywców. Doszło tedy do tego, iż ludności obojętnem się stawało, czy swój czy obcy zdobywca panuje prawem miecza. Idealiści polityczni skazani byli na wymarcie. Idealizm nie sięgał już ponad to, by książę gwarantował bezpieczeństwo życia i mienia i swobodę zarobków, czyli spokój publiczny. Zawsze zaś miał dyspensę od wszystkiego, jeżeli sądził, że w jego osobistym interesie trzeba kogoś „sprzątnąć“; to się nazywało „sprawą państwową“ i „rozsądny“ obywatel udawał, że o niczem nie wie. Jakoż niebezpiecznie było coś wiedzieć w takich wypadkach.

Gdzież się podział ideał zjednoczenia Włoch? Na jego miejscu wyrósł legitymizm dynastyczny potomków kondotjerów; zbrodnią byłoby tedy zmierzać do zjednoczenia! Nie było zresztą na całym półwyspie nigdzie żadnego hufca zbrojnego, któryby chciał służyć przebrzmiałej idei. Siły zbrojne we Włoszech nie były włoskiemi. Najpierw stanowiły wojska prywatne, osobiste kondoterjów, a potem składały się w znacznej części z cudzoziemców, aż w końcu górę wzięli pod Apeninami cudzoziemscy władcy. Kto miał wojsko s w o j e i szczęście, mógł sobie wykroić na półwyspie państwo. Włochy stały się dla Europy pojęciem geograficznem, w narodowość włoską nikt nie wierzył. I tak aż do wielkiego Cavoura, aż do pierwszego statysty uczciwego.

Tak wygląda polityczna strona renesansu. Ogół wie raczej o cudach sztuki, o wysokim szczeblu piśmiennictwa włoskiego, o „złotym okresie medycejskim“, o „wspaniałym dworze“ tego czy owego księcia, o „rozkwicie intelektu" dzięki mecenasostwu Mantuy, Ferrary, etc. Od szkolnych lat wyrastamy w kulcie formalnym tych kondotjerskich dynastów, przypisując im rozwój poezji i sztuki. Coś w tej bajce prawdy jest, bo żądza sławy stanowiła słabą stronę tych władców. W tem niema nic złego, boć i najlepszym godzi się pragnąć sławy. Ale fakt faktem, że pośród władców świata żądza sławy rośnie w stosunku kwadratowym do braku zasług; im który z nich mniej wart, tem większe roszczenia do sławy, tem więcej zabiegów, żeby sobie sławę zapewnić zabiegami sztucznemi, żeby ją sobie sfabrykować. Nietylko murzyńskie kacyki w Kongo utrzymują poetę, którego obowiązkiem robić panu sławę. To objaw pospolity, znany wszystkim rodzajom i wszystkim szczeblom cywilizacji, od starożytnych Hindusów do skandynawskich bohaterów sag i do Wilhelma II, a podobno na nim nie koniec. Na jednego poetę czy mistrza, wielbiącego szczerze, z przekonania czy z wdzięczności, dziesięciu spragnionych, by mieli za co być wdzięcznymi; na jednego kupionego jeszcze dziesięciu, pragnących być kupionymi. Jeżeli tedy kto tyle wie o tych sprawach, ile dowiedzieć się może z literatury i historji sztuki, jakżeż dalekim jest od prawdy!

Niewątpliwie literatura i sztuka należą do normalnego rozwoju narodu, ale stanowią tylko część tego rozwoju, jeden, niezmiernie ważny jego dział. Z życiem publicznem, rozumieniem spraw społecznych i państwowych dział ten bezpośrednio niewiele ma wspólnego, zupełnie tak samo, jak największy talent i rozum polityczny na nic nie zdadzą się w sprawach literackich i artystycznych. Z reguły literat niema głosu w polityce,ani polityk w literaturze, o ile osobno się tego nie uczył.

A okoliczności tak jakoś układają się wszędzie a wszędzie, że znacznie więcej jest dobrych poetów, literatów i artystów, niż polityków. W niektórych krajach stosunek ten przybiera nadwyczajne rozmiary, a najkorzystniejszym dla literatury jest w Polsce. Jeżeli tedy wszędzie panuje o pokoleniach okresu renesansu włoskiego sąd artystyczno-literacki, toć najbezwzględniej panuje literackie o renesansie pojęcie w Polsce. Jestem też przygotowany na to, że to, co tu o renesansie piszę, wyda się niemal wszystkim czemś horren-

dalnem. Jakto, więc czasy owe nie były we Włoszech wszechpomyślnością tego kraju?!

Literatura i sztuka rozkwitły wówczas na szczęście, bo inaczej Włoch renesansu nie miałby na czem oprzeć dobrych walorów ducha, nie miałby ich czem zająć. Zbawieniem to stało się dla Włochów, bo inaczej byliby może znikczemnieli. Pozbawieni życia publicznego, byliby utonęli w kramarstwie dnia powszedniego, gdyby nie sztuka. I dlatego znaczenie sztuki i piśmiennictwa włoskiego jest olbrzymie i niezmiernie doniosłe w ekonomice dziejowej.

Pomimo jednakże sztuki i literatury nie postąpiła sprawa zjednoczenia Włoch ni na krok; przeciwnie, nawet cofnęła się. Polityka we Włoszech była wykolejona — i wykoleiła naród włoski pomimo tylu i tak wielkich artystów!

Albowiem polityka należy do pełni rozwoju moralnego narodu, wcale nie mniej od literatury i sztuki! Zwycięstwo polityki kondotjersko książęcej przyprawiło Włochy o utratę niepodległości, o najazdy „barbarzyńców“, o ciągłe rozbiory Włoch między książąt, uważających Włochy jedynie za pojęcie geograficzne.

Nie można się było przeciwstawić temu, bo nie rozporządzano żadną siłą zbrojną, którąby była przejęta ideałem Ojczyzny. Od szeregu pokoleń żołnierz włoski przywykł mieć tylko wodza i nic ponad wodza, a od wodza wymagał osobistych zysków materjalnych. Co za horrendalne rzeczy czyta się o tem w źródłach historycznych. Odpowiednikiem tego w życiu cywilnem było dworactwo i szał zmysłowego użycia. Zbrodniczość, ustaliwszy się u góry, spopularyzowała się i przeszła na ogół. Trucizna i sztylet najpierw zyskały prawo obywatelstwa na dworach książęcych kondotjerów, dopiero znacznie później dotarły do „brigantów“. Przykład zawsze idzie z góry. Długo rządzono we Włoszech po skrytobójczemu, aż wreszcie i „prywatnemu“ człowiekowi zachciało się poprawiać swój los tą samą drogą, na jakiej panujący książe doszedł do tronu i przy władzy się utrzymywał. Terror władców i ich zbirów wydał, jako prawe swe potomstwo, terror zbirów, nie troszczących się o władcę. Bandytyzm, który miał się potem na przeszło sto lat stać plagą i hańbą Włoch, zaczął się od kondotjerów na tronach; oni byli tam pierwszymi bandytami.

Ulga nastała dopiero wówczas, gdy ludzie dobrej woli, miłośnicy słuszności i porządku moralnego, spostrzegłszy się, że poprzez zbrodnie Ojczyzny się nie podźwignie, że bez wartości całe to ofiarnictwo samych siebie zbrodniarzom, że strasznem złudzeniem całych pokoleń było marzenie o wyzyskaniu siły wielkich zbrodniarzy dla dobra Ojczyzny, gdy ludzie dobrzy przestali nareszcie wysługiwać się złu. Nie dano się wreszcie wyprowadzać w pole wyjaśnieniom, usprawiedliwianiom zła. Zizolowano zło. Ono samo o własnych siłach nie mogło się utrzymać.

Poderwany był system włoskich państw i państewek, poderwane metody tych rządów, odkąd wycofywali się z dworów ludzie wyższej miary. Literatura i sztuka dawała dobry przykład. Znikał nimb sławy, zanikały poważanie i szacunek. Dwory stały się kolonjami dworaków, izolowanemi pośród społeczeństwa. Wyleczono się z kultu imitacyj i falsyfikatów. Zażądano od panujących, by byli posłuszni narodowi, a nie przeciwnie, jak dotychczas bywało, i w końcu oświadczył się cały naród za tym domem panującym, który celował prostem i bezwzględnem posłuszeństwem narodowi włoskiemu. Dom sabaudzki — dodajmy — nie jest genezy kondotjerskiej.

Nigdy źli niczego nie utworzą bez pomocy dobrych, więc odkąd dobrzy wycofują się z przedsionków zła, zło musi upaść. Nie da się też z dziejów renesansu włoskiego wysnuwać wniosku, że jakakolwiek siła, skoro tylko istnieje, musi stać się przedmiotem zabiegów politycznych dla dobra kraju. Historja Włoch świadczy przeciwko temu zabobonowi politycznemu. Popierając zbrodniarzy kondotjerskich, wpędzono Włochy w bagno. Od wszystkich tych książąt nie wyszła nigdy, ani razu, żadna a żadna myśl polityczna, związana z dobrem Włoch! Włoscy politycy rozbiegli się po Europie, żeby służyć obcym, bo we własnym kraju zdolności ich nie były potrzebne! nie było zgoła pola do jakiejś poważniejszej polityki.

Zeszły Włochy na zero w Europie skutkiem tego, że folgowano zbyt długo „tyranom“; odrodziły się społecznie i państwowo dopiero wtedy, gdy zło przestało doznawać pomocy od mężów cnotliwych i rozumnych, gdy ci wyleczyli się ze straszliwego złudzenia, jakoby każda siła dała się użyć do dobra za pomocą odpowiednich zabiegów. Okazało się to .... głupotą.

Jak poucza historja, prawidła życia zbiorowego nie mieszczą się wcale w kulcie jakiejkolwiek siły, siły, jako takiej. Tylko siła, wynikająca ze zorganizowania dobrej woli, może stanowić (w pewnych warunkach) siłę historyczną, bo tylko z dobrej woli, wspartej znawstwem rzeczy, może się wyłonić coś żywotnego, jakiś prąd dopomagający współczesnym i potomnym osiągać coraz wyższe szczeble rozwoju w życiu zbiorowem, społecznem i państwowem.

Dlatego też należy się w życiu publicznem ograniczać do współdziałania tylko z ludźmi dobrej woli. Ze złem należy walczyć. To nie zawsze jest możliwe bezpośrednio — ale zawsze można od zła odgraniczać się, nigdy w niczem mu nie dopomagać. Niech źli będą sami z sobą — a zajdą niedaleko!

Jest to zasadniczym błędem metodycznym teoretyków życia zbiorowego, że szukają prawideł — a więc nauki dla siebie i innych — w dociekaniach, jak kiedy kto dochodził do władzy, a więc w studjowaniu środków wiodących do panowania. Nie baczą, ile tych panowań polegało na tem, że zagwożdżało się wszelką możność rozwoju swego narodu. Nie wszelka siła fizyczna stanowi siłę polityczną; są takie, które wiodą właśnie do bezwładu. Sprawowanie władzy nie pociąga zresztą za sobą spełniania jakiejś misji, ani wogóle urzeczywistniania pewnej myśli, gdyż można panować bezmyślnie. Wpatrywanie się we władztwo, jako we właściwy cel politycznego działania, może się łatwo wyrodzić w cześć siły bez względu na to, co to za siła. Jeżeli mądrość polityczną przyznamy każdemu, kto zebrał siłę, a siłą doszedł do władzy, w takim razie życie publiczne staje się nie walką prądów, lecz bójką osób.

FELIKS KONECZNY

ZE ŚWIATA

ŻYDZI WE WŁOSZECH

KWESTJĄ żydowską we Włoszech niewielu nagół zajmowało się pisarzy. Poza okresem walki, jaką judeo-masonerja przeprowadziła po wojnie, by zabić pewien potężny organizm przemysłowy, oparty na funduszach narodowych i administrowany przez przemysłowców i techników rodowitych Włochów — mam tu na myśli zrujnowanie firmy Ansaldo i związanego z nią banku, *„Banca Italiana di Sconto“* — sprawa żydowska na terenie Włoch nie była nigdy kwestją palącą. Dopiero właśnie ruina firmy Ansaldo wstrząsnęła społeczeństwem i wówczas to sprawę żydowską poczęto traktować poważnie i gruntownie w prasie i literatutrze społeczno-politycznej. W polemice, co się na ten temat rozwinęła, wybitny wziął udział między innymi Giovanni Preziosi, obecnie dyrektor *„Vita Italiana“*, jeden z najzdolniejszych i najgłębszych publicystów dzisiejszej doby, erudyta i cięty polemista, słowem, siła groźna dla przeciwników, siła, co żydowsko-masońskiej klice dała się porządnie we znaki.

Przemoc finansjery żydowskiej, osiągnąwszy cel najbliższy, to jest zrujnowawszy niezależny od niej przemysł włoski, potrafiła z biegiem czasu stłumić niewygodne dla niej rewelacje w prasie i nie dopuścić do tego, by niebezpieczeństwo żydowskie było w dziennikach systematycznie odsłaniane.

Wśród nielicznych dzieł pisarzy, którzy jednak, widząc niebezpieczeństwo to, mają odwagę przestrzegać przed niem ogół, zasługuje na uwagę książka hrabiego Giuseppe Zoppola: *„Imperialismo Spirituale e Imperialismo materiale — Cattolicismo e Fascismo — Giudaesimo e Massoneria“* (Wenecja Scuola Tipografica „Istituto Manin“, r. 1928 str. 141).

Pracę swą hr. Zoppola dedykował Mussoliniemu „genjuszowi powołanemu przez Boga — by na ziemi Danta — zrealizował wieszcza boską wizję — imperjalistyczno-chrześcijańską“. W myśl tej dedykacji autor uważa, iż faszyzm będzie tą skałą granitową, o jaką rozbić się winna łódź imperjalizmu żydowskiego.

Praca hr. Zoppoli kreśli dzieje walki, jaką Izrael prowadzi w dążeniu do panowania nad światem t. j. dzieje owego imperjalizmu materjalnego, który autor przeciwstawia imperjalizmowi duchowemu, uosobienemu w Kościele katolickim.

Imperjalizm duchowy, jak powiada autor, nie ma celów egoistycznych, pragnie dobra ogółu jedynie, nie stosuje nigdy aktów niemoralnej przemocy. Działa środkami moralnemi, a więc szerzeniem zasad prawdziwej religji i kultury, doskonałością sztuki oraz szerzeniem światła istotnej wiedzy, słowem, tem wszystkiem, co duchowo podnosi człowieka, i co pociąga za sobą, jako skutek naturalny, również podniesienie materjalnego dobrobytu.

Imperjalizm materjalistyczny żydowski jest dążeniem wręcz przeciwnem: żydzi pragną zdobyć wpływ wszechwładny w świecie ku własnemu wyniesieniu własnego „wybranego” narodu; lecz tak, jak nie umieli zrozumieć swego wybraństwa, pojmując je czysto materjalnie, jak odrzucili Zbawiciela, w którym nie widzieli potężnego po ziemsku króla i władcy, tak też dotychczas dążą materjalistycznie do potęgi, nieprzebierając w środkach, szerząc zepsucie, przekupstwo, degenerację w szeregach wrogów, a za takich uważają żydzi wszystkie, poza sobą, narody ziemi. Potrafili już oni opanować banki, politykę, dyplomację, prasę, Ligę Narodów, tajne stowarzyszenia i sekty i znajdując jedyny skuteczny opór dla swej ideologji w Kościele Katolickim, przeciwko niemu głównie i przeciw jego wpływom w świecie skierowali swoją działalność. Autor daje obraz owej działalności od pierwszych wieków chrześcijaństwa aż do ostatnich czasów.

Zewnętrznie starali się żydzi osłabić najgroźniejszego przeciwnika, podżeganiem do prześladowania w pierwszych czasach chrześcijaństwa, wytwarzaniem niezgód w obozie wierzących, w myśl zasady *„divide et impera“*; wewnętrznie zaś starali się naruszyć jedność wiary, wpływając na tworzenie się coraz to nowych herezyj i sekt. Autor na poparcie swej tezy przytacza słowa żydowskiego historyka B. Lazare, z dzieła *„Antisèmitisme“*: „Możnaby wykazać ciągłość penetracji żydowskiej w dziejach Kościoła Chrześcijańskiego, poczynając od Elbjonizmu, a kończąc na protestantyzmie“... (str. 50 — 51). „Reformacja wypływa bezpośrednio ze źródeł żydowskich. Duch judaizmu triumfuje w protestantyzmie“ (str. 137 — 139).

Ducha żydowskiego nikt nie zrozumie, kto nie zna zasad Talmudu, na którym od wieków urabiali się i urabiają żydzi. Autor cytuje charakterystyczne wyjątki z ksiąg talmudycznych, przytaczając źródła, wybrane z wydawnictw, które się ukazały przed rokiem 1631, w którym to roku na synodzie żydowskim w Polsce zostało zakazane pod surowemi karami drukować księgi religijne żydowskie w całości, bez opuszczeń ustępów kompromitujących, które tylko ustnie być miały odtąd przekazywane młodzieży przez rabinów w nauce religji.

Jedność polityczną rozproszonego po świecie narodu utrzymały synagogi i kahały swą tajną działalnością, która z biegiem czasu, gdy już żydzi poczuli się na silnych nogach, przeszła w ręce *„Alliance Israelite Universele“*, jawnie teraz głoszącej to samo, co kahały szerzyły z ukrycia.

Autor dowodzi następnie ścisłego związku żydowstwa z masonerją, oraz daje przykłady podstępnej roli żydów w rewolucjach wogóle, począwszy od Wielkiej Rewolucji Francuskiej, aż do ostatniej rosyjskiej. Nic to dziwnego, gdyż, jak świadczy żyd, prof. Werner Sombart, w dziele „Żydzi i życie gospodarcze“: „Wojny i rewolucje to żniwo Izraela“; praktyka zaś potwierdza fakt ten w zupełności, gdyż żydzi przedewszystkiem bogacą się na wojnach i potężnieją, a w rewolucjach oni tylko zdobywają coraz szersze wpływy i przywileje w państwach, wyniszczonych moralnie i materjalnie przez te właśnie rewolucje.

Inny pisarz żydowski, Baruch-Hagani, w *„Le Sionisme Politique“* (Paryż 1917) twierdzi, iż nie jest dziełem prostego przypadku, że wielcy agitatorowie socjalizmu, jak Marx, Lassale i inni byli żydami, gdyż myśliciele ci, widząc jaśniej od innych niesprawiedliwość i niedoskonałość społecznego życia, tembardziej zaciekle je odsłaniali, już nietylko dlatego, iż mieli przez swych proroków „wszczepione we krwi nienasycone pragnienie absolutnej sprawiedliwości, lecz także dlatego, iż żadne powody uczuciowe, żadne więzy wspólnych zwyczajów nie wiązały ich głębiej z owem społecznem życiem“...

Błędem jest, twierdzi autor, uważać żydów tylko za wyznawców pewnej religji wrogiej chrystjanizmowi i stąd wrogo usposobionych do państw chrześcijańskich, wśród których żyją. Żyd nawet

nawrócony nie przestaje być żydem. Artur Lewis, członek Stowarzyszenia Syjonistycznego w Londynie mówi w swem „*The Jews a Nation*": „Jeśli żyd jest ochrzczony, lub jeśli — co nie jest tem samem — jest szczerze nawrócony na chrześcijanizm, nie należy sądzić, iż przestał być żydem. Jego krew, temperament, jego cechy duchowe pozostają zawsze nienaruszone". — „Nie sama religja tylko tworzy nasz naród", twierdzi Lewi, jeden z leaderów loży masońsko żydowskiej, „*B'nai Brith*".

Tego rodzaju niezbitych argumentów, zaczerpniętych z niepodejrzanego o stronność źródła t. j. z pism autorów żydów, argumentów popierających w sposób namacalny tezę imperjalizmu żydowskiego, pełno znaleźć można w ciekawej i bardzo starannie opracowanej książce hr. Zoppoli. Na końcu książki podany jest zarówno ciekawy jak obfity spis bibljograficzny dzieł, traktujących o sprawie żydowskiej.

D'ARMILI

WYCHOWANIE NARODOWE

ABSOLWENCI SZKÓŁ POWSZECHNYCH i OBOWIĄZKI WOBEC NICH ORGANIZACYJ SPOŁECZNO - OŚWIATOWYCH

W DRUGIM zeszycie „Wiadomości Statystycznych" Głównego Urzędu Statystycznego z r. b. znajdujemy po raz pierwszy ciekawą statystykę, dotyczącą absolwentów szkół powszechnych w Polsce w ostatniem dziesięcioleciu t. j. od r. szk. 1918/19 do 1927/28.

Cyfry zestawiono latami: w pierwszej tabeli miasta i wieś razem, w dwu dalszych tabelach osobno miasta i wieś.

Podano również ważne szczegóły, mianowicie: ilość absolwenów szkół 7-klasowych z rozbiciem na grupy województw (centralnie, wschodnie, zachodnie bez Śląska, śląskie i południowe).

Dzięki temu możemy zdać sobie sprawę z rezultatów, jakie osiąga szkoła powszechna w Polsce całej i w poszczególnych dzielnicach.

Zajmiemy się najpierw analizą ogólnych cyfr absolwentów.

Ilość kończących szkołę powszechną w r. 1918/19 wynosiła 124.303,[1]) zaś w r. 1927/28 — 254.736, a zatem ilość absolwentów w ciągu lat 10-ciu wzrosła podwójnie. Inaczej mówiąc, obecnie kończy szkołę powszechną rocznie około $^{1}/_{4}$ miljona młodzieży.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w r. 1927/28 uczęszczało do szkół powszechnych 3.462.456 dzieci — to ilość absolwentów tego roku (254.736) stanowi 7,5% a zatem na 100 dzieci — uczęszczających do szkół powszechnych — kończyło szkołę $7^{1}/_{2}$. Procent ten wynosił w r. 1922/3 — 5,6%, w r. 1923/4 — 6%, w r. 1924/5 — 6,7%, w r. 1925/6 — 7,3%, zaś w r. 1926/7 — 7,4%. A zatem widzimy, że procent ten w ostatnich 6 latach stale wzrasta. Czy jest on dostateczny? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba rozpatrzeć inne zagadnienie, mianowicie wyniki promowania, co zrobimy później.

Na razie ustalamy, że w r. 1927/8 ukończyło szkołę powszechną w Polsce przeszło $^{1}/_{4}$ miljona młodzieży, co stanowi 7,5% ogółu uczęszczających w tym roku do szkół. Według tabeli — podanej przez Urząd Statystyczny — w ciągu lat 10-ciu (od 1918/19 — 1927/28) ukończyło szkołę powszechną w Polsce 1.979.487 czyli, okrągło, 2 miljony, a ponieważ mamy obecnie w Polsce około 30 miljonów ludności, zatem wynika stąd, że piętnasta część ludności przeszła już przez szkołę powszechną. Z tych 2 miljonów wypada na miasta blisko $^{1}/_{2}$ miljona (459.840), zaś na wsie przeszło $1^{1}/_{2}$ miljona (1.519.647).

A teraz pytanie: ilu z tych absolwentów ukończyło pełną 7-klasową szkołę powszechną?

Mamy i na to odpowiedź w cyfrach — ogłoszonych urzędowo.

Na ogólną ilość 1.979.487 absolwentów w ciągu 10 lat ukończyło pełną 7-klasową szkołę 443.040, co stanowi 22,3%; na 459.840 absolwentów miejskich ukończyło pełną 7-klasową szkołę 314.926, co stanowi 68,4%, zaś na 1.519.647 absolwentów wiejskich — kończących pełną 7-klasową szkołę było zaledwie 128.114, co stanowi 8,4%. Są to oczywiście procenty przeciętne za okres 10-letni.

Porównanie cyfr za każdy rocznik zosobna wykazuje, iż procent absolwentów pełnych 7-klasowych szkół stale wzrasta. I tak w r. 1918/19 było ich ogółem 21.900 (co stanowiło 17,2%), zaś w r. 1927/28 — 68.992 (co stanowiło 28%).

W miastach ukończyło 7-klasową szkołę w r. 1918/19 — 13.173 (50%), zaś w r. 1927/28 — 49.950 (87%), po wsiach natomiast w r. 1918/19 — 8.727 (9%), zaś w r. 1927/28 — 19.042 (10%). Z tej liczby na teren G. Śląska wypada około 10 tysięcy, czyli dla reszty Polski bez G. Śląska procent absolwentów 7-klasowych szkół na wsi wynosił w r. 1927/28 zaledwie pięć. Widzimy z tego, że na wsi zaledwi 5 procent dzieci kończy 7-klasową szkołę powszechną.

Po dokonaniu analizy cyfr, odnoszących się do całej Polski, podam zestawienie absolwentów szkół powszechnych z r. 1927/28 według dzielnic, z zaznaczeniem ilości i stosunku procentowego absolwentów pełnych szkół 7-klasowych.

[1]) W tem 13.000 przyjęto jako ilość absolwentów szkół G. Śląska.

WOJEWÓDZTWA	Miasta i wsie		Miasta		Wsie	
	Razem	W tem szk. 7-kl.	Razem	W tem szk. 7-kl.	Razem	W tem szk. 7-kl.
Centralne	81.865	22.922 tj. 28,2%	19.041	18.240 tj. 95,8%	62.824	4.682 tj. 7,4%
Wschodnie	23.065	2.858 tj. 12,3%	3.259	2.270 tj. 69,6%	19.806	588 tj. 3,47%
Zachodnie bez Śląska	51.955	8.481 tj. 16,3%	10.710	7.980 tj. 74,5%	41.245	501 tj. 1,2%
Śląskie	24.201	15.541 tj. 63,8%	5.237	4.746 tj. 90,6%	18.954	10.795 tj. 56,9%
Południowe	65.597	19.190 tj. 29,2%	19.005	16.714 tj. 87,9%	46.592	2.476 tj. 5,3%

Cyfry powyższe dają obraz stanu jakościowego szkolnictwa powszechnego i jego dorobku oświatowego. Widać z nich wielką rozmaitość stanu oświaty publicznej w poszczególnych dzielnicach. I tak najwyżej stoi szkolnictwo powszechne na Śląsku bo 63,8%, kończących szkołę powszechną, stanowią absolwenci szkół 7-klasowych: w miastach procent ten wynosi 90,6, zaś po wsiach 56,9. Na drugiem miejscu stoi Małopolska, gdzie procent kończących szkoły 7-klasowe wynosi 29,2, na trzeciem miejscu województwa centralne z 28,2 procentami, na czwartem miejscu województwa wschodnie z 12,3 procentami, a na ostatniem województwa zachodnie z 6,3 procentami.

Inaczej nieco szeregują się dzielnice, jeśli chodzi o szkolnictwo miejskie: absolwenci 7-klasowych szkół miejskich w województwach centralnych stanowią 95,8%, na Śląsku 90,9%, w Małopolsce 87,9%, w województwach zachodnich 74,5%, a w województwach wschodnich 69,6%. Najbardziej uderza stan szkolnictwa na wsi. Najwyżej stoi szkolnictwo wiejskie na Śląsku, gdzie procent absolwentów szkół 7-klasowych wynosi 56,9, a więc przeszło połowa dzieci kończy tu szkoły 7-klasowe. Natomiast w innych dzielnicach znikoma wprost ilość dzieci wiejskich kończy pełną 7-klasową szkołę: oto w Kongresówce 7,4%, w Małopolsce 5,3%, w województwach wschodnich 3,47, a w województwach zachodnich zaledwie 1,2%.

Z cyfr tych wyprowadzić można wiele wnioskow natury zasadniczej, oto najważniejsze: Wyodrębnia się w dziedzinie szkolnictwa województwo śląskie, które ma szkolnictwo najwyżej zorganizowane z powodu gęstości zaludnienia, wynoszącej 304 osób na 1 km.^{2} W innych dzielnicach spostrzegamy uprzywilejowanie miast a pokrzywdzenie wsi. Ludność wiejska, nie żyjąca w gęstych skupieniach, jak miejska, korzysta ze szkół niżej zorganizowanych; zaledwie drobna ilość dzieci wsi ludniejszych kończy szkołę 7-klasową. Uderza znikomy wprost procent (1,2%) absolwentów szkół 7-klasowych w województwach poznańskiem i pomorskiem, które przecie pod względem kulturalnym stoją najwyżej. Ziemie wschodnie, które pod względem kulturalnym są opóźnione o sto lat, mają stosunkowo blisko 3 razy więcej absolwentów szkół 7-klasowych po wsiach.

Tłumaczy się to tem, że województwa zachodnie odziedziczyły po Niemcach sieć szkolną wykończoną i ustaloną, a w sieci tej na wsi dominuje szkoła 1 lub 2-klasowa, natomiast w b. zaborze rosyjskim władze szkolne polskie tworzyły sieć szkolną nanowo, dążąc do zorganizowania szkół wyższego stopnia organizacyjnego. Małopolska, mająca o wiele gęstsze zaludnienie po wsiach, niż województwa zachodnie (woj. krakowskie 114,2, lwowskie 100,6, tarnopolskie 88, stanisławowskie 72,9 mieszkańców na 1 km.^{2}, poznańskie 74,2, pomorskie 57,1 — w r. 1926) ma wyżej zorganizowane szkolnictwo, zwłaszcza po dokonaniu komasacji szkół w ostatnich latach.

Gdyby przyjąć za wskaźnik wzrostu oświaty w kraju ilość absolwentów pełnych 7-klasowych szkół — to musielibyśmy stwierdzić, iż poza Śląskiem najsilniejszy wzrost widzimy w Kongresówce, a najsłabszy w województwach poznańskiem i pomorskiem. Czy istotnie tak jest w rzeczywistości? Aby na to pytanie odpowiedzieć — trzebaby dopiero zbadać, czy i w jakim stopniu absolwenci szkół 7-klasowych stają się w życiu codziennem czynnikiem postępu kulturalnego. Tego dziś jeszcze nie wiemy, ale w najbliższym czasie wiedzieć powinniśmy.

Zadaniem niniejszego artykułu jest zwrócić uwagę społeczeństwa a zwłaszcza działaczy oświatowych na to zagadnienie.

Około 70 tysięcy młodzieży w całym kraju (w r. 1927/28) kończy pełne 7-klasowe szkoły co roku, liczba ta będzie wzrastać i może dojść wkrótce do 100 tysięcy. Z tej liczby około 10 tysięcy to dzieci wiejskie. Znając program nauki 7-klasowej szkoły, sądzić można, iż jest to element poważnie zaawansowany pod względem wykształcenia ogólnego, a zatem powinien on odegrać poważną rolę w życiu narodowem i państwowem. Z elementu tego mogą i powinni się rekrutować przyszli przodownicy, którzy poprowadzą te masy w rozwoju gospodarczym, kulturalnym i politycznym.

Zadaniem organizacyj społeczno-oświatowych i poszczególnych działaczy oświatowych jest zainteresować się tą grupą jednostek i przyjść do nich konkretnym programem pracy w celu pokierowania ich dalszem kształceniem i wychowaniem obywatelskiem. Przy odpowiedniem oddziaływaniu można z nich wychować pewną elitę, o którą oprze się w najbliższej przyszłości pracę kulturalno-oświatową na prowincji.

Zwlekać z tem nie można, nie można bowiem dopuścić, by jednostki te marnowały się, lub szły w kierunku niewłaściwym.

JAN KORNECKI

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

„Dzieje literatury polskiej" Konstantego Wojciechowskiego ukazały się w trzeciem wydaniu jako podręcznik szkolny, nakładem Książnicy Atlas w Warszawie (str. XVI i 419, 134 ilustr., 2 tabl.) z przedmową Ignacego Chrzanowskiego. Redagował dr. Jul. Balicki. Pierwsze wydanie wyszło w r. 1906, należało więc w kilku miejscach wykład uzupełniać. Ponieważ zarzucano, że Wojciechowski pominął Norwida, dopisał o nim rozdział prof. Aleksandrowicz. On też dodał koniec, poświęcony dobie najnowszej (po wojnie). Wykład ś. p Wojciechowskiego jest jasny, prosty, miły, pełny i równy. Oświetlenie dziejów twórczości polskiej konsekwentne, pochodzące z dobrego poczucia polskiego. Zarzut ciężki zrobić trzeba wydawcom i prof. Aleksandrowiczowi, że nie umieli sharmonizować z całością swoich dobudówek. Literatura powojenna przedstawia się w tym podręczniku w ten sposób, że na 27 stron rozdziału tego 16 przypada na literaturę „Skamandra", a jak przez to wpadło rozdawnictwo laurów, dla przykładu damy parę cyfr. Wypada, że w książce poświęcono:

Tuwimowi	około	200	wierszy
Słonimskiemu		120	„
Wyspiańskiemu		100	„
Iwaszkiewiczowi		73	„
Reymontowi		62	„
Lechoniowi		49	„
Wierzyńskiemu		48	„
Wittlinowi		32	„
Berentowi		9	„
K. H. Rostworowskiemu		8	„
Weyssenhoffowi		8	„
A. Grzymale-Siedleckiemu		1/2	„

Maryli Wolskiej tylko nazwisko wymienione w nawiasie.

Dmowskiemu	0	„
Miłaszewskiemu	0	„
Nowaczyńskiemu	0	„

Wydawcy położyli na książce swoją pieczęć. Zacny Wojciechowski nie spodziewał się, że jego podręcznik w trzeciem wydaniu otrzyma tak orjentalną fasadę: po Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, Kasprowiczu, Sienkiewiczu, Wyspiańskim ni stąd ni zowąd oblicze literatury żydowskie: Tuwim, Słonimski, Wittlin, Iwaszkiewicz, Wierzyński, Lechoń cała trupa kabaretowa z „*Qui pro quo*". Zamiast Wisły Wy-

spiańskiego płynie Skamander. *Nec locus ubi Troia fuit!* Ale pytanie: czy wolno w ten sposób przemalowywać krajobraz polski na rachunek nieżyjącego już malarza?

*

Wspomnienia o pracy śp. Józefa Kotarbińskiego dla teatru spisała wdowa, pani Lucyna Kotarbińska, w książce wydanej nakładem F. Hoesicka pod tytułem „Wokoło teatru". Nie są to wyłącznie wspomnienia ról granych przez Kotarbińskiego, czy przedstawień, w których brał udział, jak to zwykle bywa w pamiętnikach aktorów, czy we wspomnieniach o ich artystycznych przeżyciach. Kotarbiński był dyrektorem Teatru Miejskiego w Krakowie i na tem stanowisku oddał polskiej sztuce teatralnej w zakresie repertuaru zasługi, wprost wyjątkowe, których żywotność oddziałała i do dziś oddziałuje na repertuar teatrów w całej Polsce. Świetny i pełen temperamentu literat, entuzjasta repertuaru klasycznego, a szczególniej utworów poezji romantycznej, odważył się wbrew radom zoilów, na dokonanie scenicznego układu i wystawienie „niescenicznych" dzieł naszej literatury, „Nieboskiej Komedji", „Kordjana", „Snu srebrnej Salomeji", „Księdza Marka", i w układzie Wyspiańskiego „Dziadów". Dzieła te po triumfalnym pochodzie przez scenę krakowską, stały się plastyczne i znane szerokim warstwom społeczeństwa i weszły na repertuar innych miast polskich. Miał Józef Kotarbiński serdeczne zrozumienie także dla nowych utworów polskich, a wystawienie „Wesela" była pamiętnem do dziś uwieńczeniem jego inicjatywy i trudów. Tak jak teatr pod jego kierunkiem szerzył kulturę, tak i dom państwa Kotarbińskich był w Krakowie, a później w Warszawie, po ich powrocie do Warszawy, ogniskiem towarzyskiego życia intelektualnego i artystycznego. To też książka „Wokoło teatru", pisana z literackiem zacięciem, jest barwną mozajką interesujących zdarzeń, i obfituje w trafne charakterystyki autorów, krytyków, aktorów i wogóle zbliżonych do teatru ludzi w niedawno minionych czasach.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Xenia*" (Calman-Lévy édit.) to jeszcze jedna powieść, której bohaterką jest znowu księżniczka rosyjska, jakkolwiek francuskiego pochodzenia. Wychowana jednakowoż w środowisku bardzo dwuznacznem, Xenia takąż prowadzi egzystencję w górskiej miejscowości. Tam to przybywa dla uprawiania sportu Bernard de Jergy, typ współczesnego młodego człowieka, pragnącego prowadzić łatwe życie. Bernard od pierwszej niemal chwili interesuje się Xenią i zakochuje w niej. Wówczas zaś, kierowany jakąś fatalną, nie do przezwyciężenia siłą, Bernard od niej oderwać się nie potrafi. Nie pomogą napominania jego siostry, ani szwagra; nawet dowiedzenie się o życiu prywatnem Xeni i o jej prowadzeniu, jeżeli rani serce Bernarda, to jednakowoż nie powoduje w nim żadnej reakcji. Bernard na wszystko zamyka oczy, byle tylko ją czuć i mieć przy sobie.

Ale dni płyną, a z niemi i sumy złota, jakie Bernard przegrywa w karty. Aż wreszcie pewnego wieczoru nękany zazdrością, wtargnie on do pokoju bogatego finansisty Mavrotis, który utrzymywał Xenię i pod wpływem rozpaczy nie hamuje się, chwyta cudzoziemca za gardło i ten dotknięty atakiem kona. Los złowrogi sie oszczędzi później i Xeni, która zakończy życie w czasie szalejącej nawałnicy śnieżnej. Poprzez całą tę książkę odczuwa się atmosferę niepokoju, która przyczynia się do uwypuklenia złowrogiego fatalizmu, jakiemu bohaterzy książki p. Joseph Peyré pomimo wszelkich wysiłków ujść nie mogą.

*

„*Rafales*" (La Renaissance du Livre) przenosi czytelnika do Szanghaju. Autor, p. J. Sansterre oprowadza go po bajecznie barwnym pod względem kolorytu i ras, porcie. Do jednego z jego bogatych hoteli przybywa francuski lekarz Chauliac. Lubi on życie czynne, ale znajduje się właśnie na rozdrożu i z trudnością znosi opieszałą egzystencję. W tym jednak psychologicznym momencie spotyka jakiegoś awanturnika, imieniem Scroope. Ten namawia swego nowego znajomego na przedsiewzięcie wielkiej wyprawy do Nowej Gwinei holenderskiej, a mianowicie na wyspe Talbot, gdzie znajdują się pokłady złota. Chauliac daje się namówić. Wyprawa ta jednakowoż spotka się z całym szeregiem najprzeróżniejszych trudności, z których wiele spowodowanych jest naturalnie przez kobietę. Jest nią młoda Amerykanka, Nelly Baldwyn, żądna silnych sensacyj, ale która kocha Chauliac'a. Staje się ona po części przyczyną licznych dramatów. Ekspedycja i pobyt na wyspie były jednym ciągiem walk, w których często trzeba było przywoływać na pomoc nietylko odwagę, ale poprostu posługiwać się fuzją czy też sztyletem Książka bardzo żywo nakreślona przez autora, który musi doskonale znać te odległe kraje; bogata jest ona w ciekawe opisy, ilustrowane walką ludzi pomiędzy sobą, zwłaszcza walką o posiadanie, zawsze upragnionego, złota.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA SZTUKI AUSTRJACKIEJ

BARDZO są pożyteczne wystawy zbiorowe współczesnej sztuki różnych narodów, wzajem sobie użyczane, tak zwane wystawy reprezentacyjne. Nie można jednak z bezwzględną ufnością polegać na nich w sprawie oceny stanu danej sztuki w danym kraju. Dowodnie nauczyła nas tego goszcząca w swoim czasie w Warszawie wystawa plastyki francuskiej, którą zmąciła, przedewszystkiem, obecność żydów zamaskowanych, a nawet takich żydów, co pragną jednocześnie być przedstawicielami sztuki francuskiej i polskiej, a gdyby gładziej im poszło, to i angielskiej i węgierskiej i niemieckiej naprzemian w jednym roku, z małemi tylko dodatkami — tu „de", tam „ski", a ówdzie „von". Ale powiedziano im nagle „won!", co żydy z wrzaskiem uznały za objaw międzynarodowego antysemityzmu. Na obecnej wystawie austrjackiej także tu i ówdzie zalatują swoiste zapaszki, które starannie, zdaleka obejdziemy. Żydek musi być wszędzie, naturalnie!, jako syndetikon klejonej Paneuropy.

Charakter i pełnia wystawy reprezentacyjnej zależą nietylko od istotnego stanu sztuki w danym okresie, ale i od znawstwa tych, którzy wystawę przygotowali, od stosunków w sztuce panujących, od wielu różnych powodów. nie wyłączając przypadku. Niepodobieństwem jest, zwłaszcza dla człowieka obcego i na odległość, zmierzyć, zestawić wszystkie dane i pewny z nich wniosek wyprowadzić. Mam już pod ręką, mianowicie w katalogu wystawy obecnej, dowód rozbieżności sądu pomiędzy krytykiem polskim a komitetem wystawy. Zdaje mi się, że do działu ilustracyj w katalogu wchodzą w pierwszym rzędzie te w odbitkach dzieła, które komitet uznaje za najlepsze, a nie wchodzą te, które komitet uznał za najsłabsze. Otóż w katalogu wystawy austryjackiej niema ani jednego z trzech obrazów Fritza Zerritsch'a, które podług mnie stanowią szczyt wystawy obecnej i są zarazem dla malarstwa austrjackiego bardzo charakterystyczne, natomiast udzielono miejsca kilku obrazom, które według mojego poglądu są słabe i błahe. Nie upieram się przy słuszności mojego sądu, może się mylę, ale warto przytoczyć kontrast tak jaskrawy dla zobrazowania różnic, jakie mogą rozstrzygać w urządzaniu wystawy.

Miałem zamiar trzymać się w ocenie wystawy tylko charakterystyki ogólnej, lecz oto przypadek zdarzył, że wysunąłem na czoło jednego artystę. Skoro tak, to poświęćmy jemu jednemu nieco czasu i uwagi. Zerritsch ma coś z Segantiniego. Nie technika, nie sposób roboty, nawet nie koloryt, ale wyniosła powaga i surowość, pewna suchość powietrzna jego krajobrazów, prostota i dostojność ujęcia i budowy, oraz nastrój ogólny, z tych cech wynikający, — zbliżają go i spokrewniają z Segantinim. Może do tego przyczynia się górskość, czy góralskość tematyczna obu artystów, może Zerritsch pochodzi sam z gór, jak Segantini, tego nie wiem, w każdym razie przed obrazami Zerritscha odruchowo, bez pracy myślowej przypomniałem sobie obrazy Segantiniego. Ale nie jest to naśladownictwo, ani wpływ, co musiałoby się w jakiś sposób uwidocznić. Poprostu — duchowa wspólność rodowa.

W obrazach Zerritscha na pierwszy rzut oka uderza swoisty koloryt, zgaszony, przyblakły i suchy, na podobieństwo gobelinów. Łatwo zbadać, że artysta osiąga ten ton nietylko przez barwy ulubione, nietylko przez technikę przecierania (nie laserowania) farby przez farbę — tu pędzlem, tam szpachlą, ale i przez mat farb umyślnie i umiejętnie pozostawiany. Wszystko razem daje swoisty koloryt za mgiełką, bardzo miły, poważny i szlachetny. Koloryt ten odrazu wyróżnia obrazy od innych obrazów olejnych, mniej lub więcej lśniących tłuszczem oleju, niby włosy nasycone fryzjerską pomadą. Warto zastanowić się nad tem, czy nie

czas już malarzom naszym, by zgodnie na całej linji wypowiedzieli wojnę owemu tłustemu lśnieniu farb olejnych. Co do mnie, zawsze mi to przeszkadzało i najlepsze nawet obrazy techniki olejnej w wartości obniżało. Ten i ów artysta dla tego właśnie powodu porzuca farby olejne i bierze się do temper, pasteli lub akwareli. Ale farby olejne mają swoje wartości, w innych farbach nieistniejące, można zatem tę jedyną ich przykrą wadę, nie uciekając, zwalczyć przez wiedzę stosowania matów, przecierań, gruntów, techniki i t.p. W Polsce poczynali czynem tę sprawę tacy artyści, jak naprzykład Boruciński, ale jej do końca nie doprowadzali.

Myślę, że każdy artysta-malarz odczuwa ordynarność w tłustem na obrazie lśnieniu oleju. Nie godzi się ono z płótnem i samą farbą (w proszku), sprawia duże trudności w oświetleniu obrazu, nadaje barwom ton gminny. Zdaje mi się, że matowość i pewna suchość nie przeszkodzi w objawieniu się żadnemu kolorytowi, żadnej barwie poszczególnej, że każdy koloryt, owszem, wygra na tej odmianie, bo zyska na sile i szlachetności, oraz na swobodzie w równem wytrzymywaniu wszelkich oświetleń — górnych i bocznych. Korzyści są wszechstronne, pozostaje tylko trudność w sposobach roboty i gromadzeniu doświadczeń. Lecz to właśnie powinno pociągać artystów. Na obecnej wystawie austrjackiej już kilku artystów poszło tą drogą — z doskonałemi wynikami, jak naprzykład Erich Miller-Hauenfels, Franz Trenkl Leo Delitz i inni, przyczem nie przyniosło to żadnemu z nich uszczerbku w indywidualności ich kolorytu. Dla temperamentu polskiego przyda się taka szkoła, bo ujęty w dyscyplinę kolor ustrzeże się nie jednej łezki zbędnej, nie jednej banalnej łatwizny.

Malarstwo i rzeźbiarstwo austrjackie, włączając tu i zdobnictwo na tych obu sztukach oparte, oraz rzemiosło artystyczne, uniknęło przesad i jaskrawości wszelkich kierunków, od czasu impresjonizmu po Europie grasujących. Z naciskiem mówi o tem p. Hans Tietze w zwartej, rzeczowej przedmowie swej do katalogu i ma słuszność, że cechę tę podnosi jako jedną z zalet sztuki austrjackiej. Wszystkie te przesady pochodzą z fanatyzmu teoryj mózgowych, a sztuka od teoryj i ich fanatyzmu ślepnie i kostnieje, sama sobie ciąży i grubieje. Niemiec południowy, jakim w znacznej przewadze rasowej jest austrjak, posiada dość pierwiastków lekkości i wdzięku, ażeby się od tych wrogów artyzmu z powodzeniem uchronić. Ma przytem pod tym względem urobioną tradycję, której syntezą jest Wiedeń. Są jednak w sztuce austrjackiej pewne odchylenia i w kierunku niemieckości pruskiej, co na obecnej wystawie obrazuje się w takiem, naprzykład, dziele, jak „Rodzina" Ferdinanda Kitt'a. Przewaga atoli — tak liczebna, jak jakościowa jest po stronie Wiednia i Południa.

Obok umiaru, lekkości i wdzięku sztuka austrjacka odznacza się dużą pracą, powagą i szkołą rzetelną. Są to już cechy dla narodu niemieckiego powszechne i dodatnie. W połączeniu z tamtemi dają rękojmię ciągłości sztuki i jej zawsze uczciwego, zawsze godnego uwagi poziomu. Jakkolwiek przeto wystawa obecna nie przynosi nam objawień, niezwykłości, niespodzianek, godnie reprezentuje powojenny okres twórczości austrjackiej na polu sztuk plastycznych— z wyjątkiem architektury, której komitet nie uwzględnił. Rzeźbiarstwo wprawdzie i grafika nie dotrzymują tu kroku malarstwu, a sztuka zdobnicza, stosowana i rzemiosło artystyczne, pomimo stałej, wielkomiejskiej elegancji, zdradzają pewne wyczerpanie i posmak ogólnoeuropejskiej, magazynowej szarzyzny, ale tak dzieje się teraz mniej więcej wszędzie. Wszyscy czekamy na przeminięcie ospy paneuropejskiej i judejskiego ognipióru, które z brudów ghetta się rodzą, a udają transe narodzin nowego świata i nowej sztuki. Wszyscy na lud oczy zwracamy, oczekując od niego największej manifestacji rewolucyjnej — rewolucji zdrowia i siły narodów.

Zachęta dzięki obecności wystawy austrjackiej przybrała wygląd nieco odświętny: pomyślano o roślinach, o przyozdobieniu i przystosowaniu okien. Dotychczas, „na codzień" warszawski „pałac" sztuki pielęgnowany był, przyznajmy, z żydowska-po gospodarsku, na handel, jako stała hurtownia dzieł sztuki, wielki magazyn danego towaru, na szczęście, jeszcze bez szczurów. Tylko na dole sala rzeźb, jak była nudną poczekalnią w łaźni publicznej, tak została. Okna zakratowane, jak w więzieniu, ściany połamane we wnęki, pilasterki, gzemsiki, ozdóbki, pomalowane w kolorze lury kawowej, — słowem — emetyk z olejem rycinowym wraz z siedmioma boleściami — oto wspaniałe tło dla napchanych tu dzieł rzeźbiarstwa. A mogłoby się komu zdawać, że to tak łatwo obić gładko ściany suknem w barwie rdzawej, pokryć ordynarną posadzkę kamienną jakiem linoleum o kolorze neutralnym, spiłować kraty w oknach, rozmieścić rzeźby z myślą i smakiem! „He! he!...", jak mawiał Przybyszewski. To nie w stylu Zachęty...

W gruncie rzeczy nawet tak drobnemu dodatkowi do wystawy, jak katalog, możnaby trochę myśli z górnych sfer komitetu przeznaczyć i udzielić. W tytule pierwszego z brzegu działu katalogowego — błąd: „Malarstwo, Rzeźba i Grafika". Mówi się w tym wypadku „rzeźbiarstwo", bo tu nie o jedną rzeźbę chodzi, nie o jedno dzieło sztuki, ale o całą sztukę odrębną, o rzeźbiarstwo, tak samo, jak o malarstwo. W tytule ostatniego działu katalogowego — błąd: „Dział ilustracji", kiedy tu nie jedna, lecz dużo ilustracyj się mieści. Drugi przypadek liczby mnogiej w słowach tego rodzaju ma w języku polskim końcówkę „yj", a nie „ji". W ogłoszeniu Zachęty na przedostatniej stronicy katalogu— błąd: „Oczyszczenie, reperację" i t. d. gwarą „warsiawskich" rzemieślników. Mówi się „reparacje" przez „a", a nie przez „e", skoro już mamy posługiwać się łaciną, ale przecie istnieje czysto polskie i przepiękne w brzmieniu słowo „naprawa". Polecam Komitetowi Zachęty gramatykę polską, co niedrogo kosztuje, albo przynajmniej podręczny słownik Łosia z pisownią, ustaloną przez Akademję Umiejętności

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

Stanisław August król. Rozmowy z ludźmi. Opracował St. Wasylewski. Przedmowa A. Skałkowskiego. 8 ilustracyj. Lwów 1930. Ossolineum. Str. 184.

Nakładem Gebethnera i Wollfa wyszły:

Choynowski Piotr. Rzeczy drobne i zabawne.
Siedlecki-Grzymała Adam. Maman do wzięcia. Humoreska.
Nałkowska Zofja. Dom kobiet. Sztuka w 3 aktach.
Szydłowski Tadeusz. Stanisław Wyspiański. Z 32 reprodukcjami.
Warchałowski Jerzy. Zofja Stryjeńska. Z 32 reprodukcjami.

Kraushar Alex. Daniel Chodowiecki, jego sceny dziejowe Polski oraz wizerunki. Warszawa 1930. F. Hoesick.

Grabowski Oksza Ignacy. Styl i smak. Warsz. 1930. Nakładem autora. Str. 37.

Baczyński Stan. Prawo sądu. Warszawa 1930. „Europa". Str. 32.

Przyboś Juljan. Z ponad (Poezje). Bibl. „a. r". T. I. Cieszyn 1930.

Chrzanowski Ignacy. Czem był Wirgiljusz dla Polaków po utracie niepodległości? Kraków 1930. Str. 30.

Hajewicz J. Propaganda pacyfizmu w wychowaniu. Warsz. 1930. Odbitka z „Myśli Narodowej". Str. 20. Cena 60 gr. Skład w księgarni Polskiej. Warecka 15.

St. Marten (Harvey). Ojciec zadżumionych i inne parodje polityczne. Warsz. 1930. „Placówka". Skład w księgarni K. Wojnara.

Doda Wiktor. Dookoła książki polskiej. W 45-lecie pracy księgarskiej Z. Jelenia. Tarnów 1928. Z. Jeleń.

Bilińska Stefanja R. Chrystus i chrześcijaństwo w twórczości Słowackiego epoki mistycznej. Tarnów 1929. Z. Jeleń. Str. 112.

OFENSYWA

„PRZESTĘPCY“ I PRZESTĘPCZOŚĆ

W BARDZO interesującym grubym tomie *in quarto* warszawskiego Głównego Urzędu Statystycznego Rzeczypospolitej, może każdy rodak wywiedzieć się, jak to od roku 1926 t. j. od zagarnięcia władzy przez Imperatricę Sanację siedmiomilowemi butami kroczy sobie ku rozrostowi przestępczość w Polsce i jak między innymi wzrasta ilość przestępczości przeciw moralności seksualnej.

Dużą zasługę w tym rozroście przypisać należy: prasie sensacjonistycznej, brukowej, marszałkowskiej, pornograficzno-kryminalistycznej, następnie kinu i filmom amerykańskim, no i wreszcie alkoholizmowi.

Teatrowi i sztuce dramatycznej winy za ten wzrost przestępczości, specjalnie zaś za wzrost występków przeciw moralności seksualnej dotychczas nie przypisywano. Musimy atoli bardzo pilnować i strzec tej instytucji kulturalnej, aby wcześniej czy później i te świątynie Piękna i Słowa Żywego nie pociągnięte były do odpowiedzialności duchowej za współpracę z kinem i ze szmatami prasowemi w podsycaniu u tłumów drzemiących, ale nie śpiących instynktów zbrodniczych. Będzie to oczywiście kolidowało ze zmysłem geszefciarstwa u *manager*'ów prywatnych przedsiębiorstw teatralnych. Uledz atoli nagankom tych spekulantów i ich partyzantów nie należy i przy każdej wznawianej próbie transpozycji na scenie kryminałów, mordowni, domów publicznych, spelunek, jam, szpitali wenerycznych, domów obłąkanych, barów paserskich, gniazd apaszów i t. p... należy handlarzy ze świątyń pędzić powrósłami, mokremi ścierkami, ewentualnie nawet ładunkami śmierdzących czy łzawiących gazów. Teatry od tego nie są i teatry konkurować we frekwencji motłochu z kinami nie mogą i nie mają.

W ostatnich latach w Niemczech zaczęto produkować z intencjami na eksport utwory pod hasłem bezwzględnej „rzeczowości“. W gruncie rzeczy jest to sobie dawny naturalizm z przed lat czterdziestu, tylko zwulgaryzowany i zbrutalizowany już do absurdu, a zgalwanizowany z pomocą injekcji olbrzymiej dozy kryminalistyki. Odmiana: rzeczywistej rzeczywistości. Ponieważ teatry w lwiej części zapełnia „nowa burżuazja“, to jest zbogacona hołota, przeto dla jej trywjalnych gustów, afektów i t ę s k n o t fabrykuje się „sztuki“ przeładowane złoczyńcami, zboczeńcami, zbrodniarkami i prostytutkami. Nowa publiczność, wśród której jest mniejwięcej 40% byłych lub przyszłych, jeżeli już nie wprost kryminaloidów, to w każdym razie elementów o stłumionych zbrodniczych instynktach, lubi oglądać na scenie ten „świat brudów“. Takie „odcinki“ rzeczywistości (kloacznej) liweranci-autorowie cokolwiek dla konkiety krytyków przepajają ideologją Dostojewszczyzny lub wprost bolszewickim aromatem etycznym i gotowy preparat odnoszą dyrektorom-geszefciarzom. W Niemczech ta „moda“ już szczęśliwie mija ale przenosi się zato na „peryferje“ do krajów ościennych.

Po „Cyankali“ wystawił w Łodzi p. Adwentowicz sztukę „Ferdynanda Brücknera“. Zrobił to oczywiście dla geszeftu, utrafiając w gusta gatunku: „*Lodzer mensch*“. I *bussiness* się udał. Trzecią pozycją w repertuarze będzie prawdopodobnie „Pluskwa“ Majakowskiego albo „Dziewice Konsystorskie“ (przerobione na scenę) albo „Kiła“ Kohna, „Salvarsan“ Kahanego, albo „Cela nr. 16“ Marka Spiry, albo „Masturbanci“ Hirschbanda i Kupplerweisa. Pozazdrościł łódzkiemu teatrowi kokosowych kompletów p. dyrektor Zelwerowicz, wielki artysta i reżyser ale równie wielki kombinator finansowy, a i polityczny, jak to tam mówią w tych światach „cwaniak“, i teatr wileński, to jest teatr w stolicy tego okręgu Sądu apelacyjnego, z którego Główny Urząd Statystyczny notuje d o t y c h c z a s najmniejszą cyfrę przestępczości, „Przestępców“ tych wystawił. Wystawienie przed dość naiwną, bo ostatecznie prowincjonalną publikę sensacyjnej owej niemieckiej „*Schweinerei*“ wywołało sympatyczny skandal; nie wystawiają tam Kaysera, Hasenclevera, Bronnena, Jahna, Hardta, no choćby nawet... Toller'a, ale „*ausgerechnet*“ w Wilnie, definitywne i bezbrzeżne świństwo judoszwabskie, choć tam nie Piscatorskie i nia Pitojewowskie, atoli w każdym razie: obrzydliwe wydzieliny mózgowe jakiegoś plebeja, obu łapami grzebiącego w czeluściach latryny. I robi się skandal. Europejczycy protestują przeciw gnojowi, recenzenci czy recenzentki rżną, władze nakazują wywieść błoto ze sceny z powrotem do rynsztoków, na ulice, skąd wzięte. I wtedy znów robi się zabawna druga heca parafjalna, burza w filiżance barszczu. W obronie „demoralizującego moralizatorstwa“, (tłumaczonego przez komunistę Standego), występują prowincjonalne Paryżany, światowcy, kresowe „zapadniki“. Dyrektor zaciska z pasji pięście, że *good business* z rąk się wypsnął, a pajacyki wsiadają na wielkiego konia, na Rosynanta „obrażonej“ kultury. A tak byłyby chodziły żydy! A tak żydy byłyby chodziły! A tu co? Kasa pusta, bo zdejmować trzeba z afisza „Przestępców“ *standard-work* Brücknera „Ferdynanda“? (Oj, czy nie Naphtalego lub Jeroboama?) Z oszczepem na pruderję i „reakcję“ pierwszy rzuca się pan Hulewicz. Który? Niewiadomo, jest ich chyba ze trzynastu, trudno się zorjentować: Jerzy, Wacław, Baltazar, Agapit czy Symforjan. Ej, czy to nie ten, co książkę o Beethovenie zatytułował: „Przybłęda Boży“? Jeżeli ten, to *all right*, wszystko się zgadza i tłumaczy... I Wilno jest świadkiem i terenem zabawnego spektaklu w stylu Proletkultu czy M. G. S. P. S. czy „Terewsata“ leningradskiego („*Tijatr satiry politiczeskiej*“). Przedsiębiorca *manager* spędza na pohulankę intelektualną gawiedź, zaprasza koneserów, grają ersatzoszwabkę berlińską, odbywa się sąd, a kiedy przemawiają i potępiają paskuderję intelektuele prof. Pigoń, prof. Srebrny i inni, gawiedź z Peryferji wrzeszczy w obronie „Pluskiew“, spędzania płodu, morderstw, kazirodztw, proletkultu, cyankali, hypermanganikum, judoformium, „rzeczowości“.

Ale gdzie są w tem wszystkiem „Przestępcy“?

Przestępcy są w... redakcjach... „Słowa“ i „Polski Zbrojnej“. Pan Zelwerowicz, wielki artysta, świetny reżyser i *first class businessman*, pchjąc na afisz ordynarne „*fotos*“ z życia, był... w swojem prawie. Ma za sobą prasę, świństwo robi kasę, tedy nie grymasić, grać i basta. „Endeki i Bogoojczyźniaki“ wznoszą larum i drą na sobie szaty?... także w porządku. Wobec tego atoli judosłowianie, Massohny, „koleżanki Goldberżanki“, Czyżyki i t. p. ławą stają w obronie „kultury“ (grandów Paryża!!!) postępu cywilizacji przeciw „rozpanoszonemu klerykalizmowi“ i ciemnocie (Ciemngród) i to jest także *right place*... Spędzone w bandach Piłsudczyki obojga płci, w teatrze bronią „Przestępców“ i plują na profesorów uniwersytetu?... także wszystko w porządku.

Ohyda, bezecna ohyda dopiero zaczyna się, gdy w obronie takiego kiczu, takiego kiczodramu, takiego „*schundu*“ takich cuchnących wywarów stają nie poszczególne literackie „guerillasy“, „modernisty smorgońskie“, „buntownicze“ Hulewicze i t. p. ale organ konserwatystów wileńskich: „Słowo“, i warszawska „Polska Zbrojna“ tj. t. zw. organ wojska polskiego. A tymczasem do tego doszło. W całym szeregu miast niemieckich przeciw graniu „Przestępców“ wystąpiono i wyrobu nie grano właśnie z powodu tendencji, choć chytrze zamaskomanych, ale podskórnie komunistycznych. Tymczasem to samo „Słowo“ księcia Sapiehy i p. Mackiewicza, które nie dawno obrzmiałe i opuchłe serwilizmem wobec soldateski cisnęło się na acrybiskupa Jałbrzykowskiego. To samo teraz stanęło obok „żargonówek“ „*Togu*“ i „*Cajtu*“ w obronie... „Przestępców“. Tak się zdemaskował recenzent p. Limanowski, pozujący „mesjanistycznie“ manjak teatralny, bluffujący „teatrolog“, mętny, prowincjonalny erudyt literacki, rozbrajający wprawdzie swą naiwnością i rozgadanem dyletanctwem, ale równocześnie jednak znoszący w organie konserwy kukułcze jajeczka rozkładu, chaosu, anarchji gustów i pojęć. A za nim i za jego kompanją w obronie „Przestępców“ poszli już śmiało „kryptokomunizanci“ z „Polski Zbrojnej“, „Gazety Polskiej“, Poranniaków, Expressiaków, Warchlaków itp. hałastrą intelektualna, prostackie konesery „z domowem i chederowem wykształceniem“, niedomyte „obrońce kultury“, o której mają takie pojęcie, przeczucie i wyobrażenie, jak *plus minus* pikkolaki o telewizji, radjofonji, ikonofonach, fultografach i... winaveredykcji...

Oto są „Przestępcy“! Kazirodcy! Wallenrody! Nihiliści w maskach Piłsudczyzny! Oto gdzie Dostojewszczyzna, a nieodsłoniona.

A nie w żadnej „sztuce“ „Brücknera“.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Sanacyjne lwowskie „Słowo Polskie“ z zapałem broni swej tezy, że „prawdziwymi uczniami Jana Ludwika Popławskiego“ okazali się w okresie wojny światowej właśnie pp.: Piłsudski, Koc, Sławek i t. p. Ciekawe tylko, czemu pp.: Mejbaum, Mękarski i towarzysze z lwowskiego „Zespołu stu“, podobnież za „prawdziwych uczniów“ Popławskiego się podający, zrozumieli wskazania nauczyciela... dopiero w dziesięć lat po zakończeniu wojny światowej, ale zato... nazajutrz po niepowodzeniu obozu narodowego podczas wyborów sejmowych w r. 1928, kiedy to z dnia na dzień, witając zwycięzców, postanowili przenieść się do szeregów potężnej „sanacji“...

Strach pomyśleć, że jeśliby wybory w r. 1928 zakończyły się sukcesem listy Nr. 24, „prawdziwa myśl“ Jana Ludwika Popławskiego nigdyby nie została odkryta!

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.